№ 5. Warszawa, dnia 22 Stycznia (3 Lutego) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

ALEKSANDER PETOEFI.

(Dokończenie.)

Im wyżej rósł talent Petoefiego, im bardziej pieśń poety poruszała ogół czytelników, tem surowiej krytyka chłostała jego utwory. Zarzucano mu rubaszność i zaniedbanie w stylu, pomawiano go o nieuctwo. Pociski te do żywego ubodły poetę: odpowiedział na nie palącym wierszem, a co lepiej obliczył się sam z sobą, poznał ile mu nie dostaje. Z całym wtedy zapałem zabrał się do systematycznych badań nad ojczystą i obcą literaturą, wyuczył się języków francuzkiego i angielskiego, czytał w oryginale Szekspira, Wiktora Hugo i Berenzera, poznał do gruntu poetów niemieckich, przypomniał sobie szkolną łacinę. I niebawem praca uspokoiła wzburzony umysł, przyprowadziła myśl do równowagi, dała mu uczuć prawdziwe piękno, nie wstrzymując przecież samoistnych polotów.

Najwyższy objaw twórczego ducha widzimy w obszernym poemacie p. t. „Janosz Witiz”, Petoefi w tej epoce madziarskiej zebrał wszystkie odwieczne podania, wszystkie skarby ludowej poezyi. Co więcej, pod fantastyczną osłoną, przebiegł całą przeszłość narodu swego, jego zacięte boje, czasy rycerskiej chwały i smutnego upadku, wreszcie owe niezmordowane wysiłki ducha w których wytrwał naród, przywalony brzemieniem klęsk, i ciężką pracą przysposabiał sobie lepszą przyszłość. Oto treść epopei w kilku słowach.

Janosz, młody pasterz sierota, zakochany w pięknej Huszce, stracił połowę trzody, powierzonej mu przez Gazdę. Idzie w świat, gdzie go oczy poniosą. W ciemnym lesie schodzi ucztujących opryszków, puszcza z dymem czardy, gdzie pijani śpią po obiedzie, odtrąca z pogardą ich złoto. Dalej spotyka oddział huzarów, wdziewa mundur, spieszy z nim na rycerskie przygody, przez Polskę, Włochy, Indye, Tataryą, pośpiesza do kraju Franków, gdzie Bisurman rozpostarł rządy swoje. Tam, wydziera królewnę z rąk paszy. Turcy pogromieni przez Madjarów zasłali kraj trupem, rzeki zrumienili krwią, garstka niedobitków ucieka w popłochu za morze. Uszczęśliwiony król, córkę wraz z tronem, oddaje dzielnemu jej wybawcy. Ale Janosz kocha Huszkę, ona droższa mu nad tron i wszystkie skarby świata.

Król wyprawia ucztę pożegnalną, mieni Janosza Witeziem, pełną garścią sypie mu złoto. Zagadniony młodzian z wieśniaczą prostotą opowiada przygody swoje od lat dziecięcych. Przytaczamy ten ustęp:

W dzień letni Gaździna, poczciwa niewiasta,
Przez pole zielone do wioski szła z miasta,
Było to w słoneczny poranek, na wiosnę,
Wtem z brózdy posłyszy kwilenie żałosne.

Płakałem okrutnie — przystąpi zdziwiona,
Podnosi mnie z bruzdy i tuli do łona,
I w sercu poczciwem myśl jasna zaświeci,
Wychowam sierotkę, Bóg nie dał mi dzieci.

Lecz Gazda był człowiek ponury i srogi,
Gdy biedna Gaździna przyniosła mnie w progi,
Na wstępie gniewliwym powitał mnie wzrokiem,
I z ust mu przekleństwa trysnęły potokiem.

Poczciwa niewiasta drży cała i nie wie,
Jak męża ukoić w straszliwym tym gniewie,
„Ej, ojcze! zagadnie, miałażbym broń Boże,
Biednemu dzieciątku dać zmarnieć na dworze.

„Dobytkiem nam pięknym, poszczęścił Bóg [z nieba,
Więc chłopczyk w próżniactwie nie będzie jadł [chleba,
Są konie i woły i owce, toć z czasem,
Nasz mały Bogdanek zostanie Juhasem.”

Wszak słowo na serce upada jak rosa,
Lecz zawsze on na mnie spoglądał z ukosa,
Za lada swawolę on karcić gotowy,
Wciąż gromi i chłoszcze, to biczem, to słowy.

Wśród pracy i chłosty wyrosłem w pachole,
A chmury przyćmiły sierocą mą dolę,
Jedyna mi gwiazdka nad głową migocze,
Bieluchna gołąbka, dziewczątko urocze.

Mogiłę jej matki już trawa zarasta,
Już nowa w dom męża wstąpiła niewiasta,
Nie długo i ojciec zmarł z bólu i troski,
Dzieweczka z macochą mieszkała wśród wioski.

Pociechą mi całą ta biedna sierota,
Jedyną różyczką wśród kolców żywota,
Mógłżem ja mój Boże nie kochać jej żywo,
Gdy serca nam sprzęgło sieroctwa ogniwo.

A kiedym na chłopca wzrósł krzepko i pięknie,
Ej, serce mi puka, pierś mało nie pęknie,
A gdy ją uścisnę, drżę cały jak listek,
Że mógłby świat dla mnie zapadnąć się wszystek.

Bezbożna macocha wciąż krzywdzi niebogę,
Niech Bóg jej przebaczy, ja bronię jak mogę,
Gniew wiedźmy przeklętej odganiam ja czarem,
Gdy w pomstę niekiedy zastraszę pożarem.

I mnie też biednemu przypadły złe chwile,
Kiedyśmy Gaździnę złożyli w mogile,

Boć ona mnie wiernie do dni swych ostatka,
Przed Gazdy razami słoniła jak matka.

Ja serce mam twarde, kowane ze skały,
Nie często z mych oczu łzy wrące tryskały,
Lecz na grób Gaździnej stoczyłem ich tyle,
Aż kwiaty na cichej zakwitły mogile.

I miła Huszka, mój klejnot jedyny,
Zawodzi też ciężko na grobie Gaździny,
Bo dobra niewiasta serdecznie a słodko
Z daleka nad biedną czuwała sierotką.

— Czekajcie no dzieci — mówiła z uśmiechem,
Pożenię was jeszcze, toż kochać nie grzechem,
I dola wam jasna po Bogu zaświeci,
Będzie-to z was para! — czekajcie-no dzieci!"

Wtem, biednej Gaździnie zawarła śmierć oczy,
Ta ziemia cmentarna co piersi jej tłoczy,
I nasze nadzieje stargała z kolei,
Lecz miłość nie zgasła, choć zbrakło nadziei.

Inaczej zrządziły wyroki snać Boże,
Nad głową promienne pobladły nam zorze,
Raz oto na stepie zgubiłem pół trzody,
I srogi mnie Gazda wypędził z zagrody.

Jam musiał pożegnać gwiazdeczkę mą złotą,
W świat długi, szeroki, poszedłem z tęsknotą,
I wlokłem się smutno to polem, to jarem,
Aż oto z pasterza zostałem huzarem.

Gdzie wiatr mnie zapędził nic nie wie Huszka,
Lecz ona innemu nie odda serduszka,
Ja wiernym też będę gołąbce mej białej,
Choć losy mnie od niej daleko zagnały.

Więc nie licz ty na mnie urocza królewno,
Bo choćbym Huszkie nie dostał, to pewno,
Pod ziemią cmentarną wprzód zasnę głęboko,
Nim zwrócę ku innej me serce i oko.

Janosz Witiz odpływa morzem do kraju. W połowie drogi gwałtowna zrywa się burza. Okręt tonie, skarby przepadły, ale Janosz ocalał, woda wyrzuca go na skały.

O! wtedy rozbitek w proch cały się korzy,
Dziękuje za życie, bezcenny dar Boży,
Choć skarby przepadły, nie troszczy się o to,
On złoto za żywot oddaje z ochotą.

Ze szczytu opoki pogląda zuchwale,
A gryfy tam gniazda usłały na skale,
Tam matka żer w dziobie przyniosła dla dzieci,
W umyśle Janosza myśl nagła zaświeci.

I chyłkiem co żywo ku gniazdu podbieży,
Z nienacka na ptaka piorunem uderzy,
Żelazną ostrogą zakole pod bogi,
Ptak skrzydła rozpostarł i pomknął w obłoki.

Zwykłego by jeźdźca gryf nie zniósł na grzbiecie,
Lecz Witiz mu szyję ramiony oplecie;
Zrozumiał ptak nakaz, w lot z wichrem w zawody,
Unosi go chyżo, nad pola, nad wody.

Przebiegli moc krajów, wtem zorza zrumieni
Pół nieba odblaskiem słonecznych promieni,
Dzwonica kościołka błysnęła w pomroczu,
Drgnął Janosz, łzy strugą spłynęły mu z oczu.

„To wioska rodzinna. O Boże mój Boże!"
Z radości tchu piersią pochwycić nie może,
I gryf też znużony, więc skrzydły ciężkiemi,
Lot z jasnych błękitów skierował ku ziemi!

Z bijącem sercem Janosz wchodzi do znanej dobrze chaty... ale cóż to? w izbie obce spotyka twarze. Nie ma tam Huszki, ona śpi pod murawą cmentarną! Młodzian długo płakał na grobie i znów podąża w świat szeroki, wędrówka to pełna cudownych przygód. Bohater nasz wdziera się w kraj Olbrzymów, toczy z nimi zapasy, wychodzi z nich zwycięzko, duch przemógł nad siły, jak w boju Dawida z Goliatem. Idzie dalej, w krainie wiecznej ciemności stacza nową walkę z czarownicami. Ilekroć padnie jaka wiedźma, widnokrąg rozjaśnia się nagle, aż słonko oblało w końcu dolinę. Dociera naostatek bohater, nad brzegi morza Operenczu, które lud mieści na ostatecznych krańczynach świata. Na barkach olbrzyma dostaje się na wyspę, zmiata łby czychającem u brzega lwom i potwornym smokom, wnika nakoniec w krainę Tundrów, gdzie Zlunka istna świtezianka, w falach jeziora czeka wybawczej ręki. I dzielny Janosz odzyskał skarb droższy mu nad złoto i trony.

I wieki przebrzmiały, a w Tundrów krainie,
Żałoba nie znana, łza z oka nie płynie,
Tam życie kwiecistym wianeczkiem się toczy,
Z Janoszem Witeziem, Huszance uroczej.

Tą Huszką, kraina węgierska, droga sercom Madjarów. W roku 1846, kiedy Petoefi wyśpiewał swój poemat, groźna chmura wzbierała na widnokręgu. Serca wrzały zburzonem życiem. Tem snadniej znalazły w nich oddźwięk słowa poety, powleczone tajemniczą zasłoną.

W rok potem Petoefi założył dziennik na własną rękę. Zaprzyjaźnił się wtedy z Aleksandrem Telekim, gorącym patryotą. Za pośrednictwem młodego magnata, otrzymał rękę Julii Szendrey, z którą łączyło go nietylko wzajemne uczucie, ale równy zapał i nadzieja na przyszłość. Petoefi kochał zapamiętale żonę, nie przepomniał jednak przy niej wielkich obowiązków w życiu publicznem. Wyraził to w poemaciku „Miecz i żona". Podczas gdy tuli do piersi ukochaną, miecz zaszczęknął na ścianie. — Co tobie? — pyta — miałżebyś jej zazdrościć?

Alboż jej nie znasz stary mój druhu,
Że miłość ku niej chcesz ująć w karb?
Nie wiesz-li mieczu jaki w jej duchu,
Szlachetnych uczuć spoczywa skarb?

Uczcićby lepiej tobie przystało,
Tę co przyniosła szczęście w mój próg,
Takich jak ona świat liczy mało,
Potężną wolę tchnął w pierś jej Bóg!

Jakoż gdy w rok potem, wybiła godzina czynu, dzielna żona podała miecz w rękę ukochanemu. Petoefi uścisnął ją, pożegnał nowonarodzonego syna, pomknął na pole walki. W ciągu dwuletnich blizko zapasów wyśpiewał setki palących zwrotek, któremi dokupił się chlubnej nazwy nowego Tyrteusza.

Nadeszła wiosna 1849 roku. Poeta powitał ją rzewną pieśnią, snać tajemnem ostrzeżony przeczuciem.

O wiosno! — woła on — ogrzej ciepłem tchnieniem tę smutną ziemię, rozwiń nam twój namiot zielony!

Posiej nam wiosno dłońmi pełnemi,
Barwiste kwiaty i wonne ziele,
Jak step szeroki, w tej biednej ziemi,
Niech ich zakwitnie wiele, ah! wiele!

Bo dziś cmentarzem ta ziemia cała!
A tych co legli na polu sławy,
Niepogrzebane kości i ciała,
Leżą jak ścięte pokosy trawy.

Jakże tych zmarłych twarde posłanie,
Ty ich na łonie ukołysz wiosno,
Za miękki całun niech kwiat im stanie,
Twoją posiany ręką litośną.

I oto, ów kwiat, rozkwitły pod żarem letniego słońca miał się stać całunem poety!

Poległ w Siedmiogrodzie 31 lipca, w pamiętnej bitwie pod Szegeswarem. Mimo troskliwych poszukiwań, nie odkryto nigdy jego ciała!

Napróżno starzy rodzice wyglądali powrotu syna, nim zima przeszła, trawieni tęsknotą i żalem oboje zstąpili do grobu. Żona weszła w powtórne związki. Syn tylko sierotka gonił myślą za nieznajomym ojcem.

Oto jak kończy wspomnienie o Petoefim, autor Dziejów Węgier (*).

„Zerwały się węzły łączące Petoefiego z rodziną, lecz te, które złączyły go z narodem, miały przetrwać na wieki. Pieśń jego brzmi dotąd w ustach młodych Czikosów, śpiewa ją rolnik prowadząc pług po roli, rzemieślnik przy warsztacie, śpiewają tę pieśń dziewczęta wszelkich stanów, tak w chacie u ogniska, jak w pałacu magnackim. Rozlega się o bukowe lasy Karpat; powtarzają jej echa pola Rakos i szerokie stepy Debreczyna. Gdziekolwiek serce bije silnem uczuciem, gdzie szlachetny zapał ożywia ducha, w smutku i tęsknocie, w radości i nadziei, wszędzie i zawsze brzmi pieśń Petoefiego.

„Że nie odkryto ciała poety, skon jego był długo wątpliwym. Nie wyczytano też i jego nazwiska na liście niewolników ani straconych ofiar. Lata płynęły po latach, a nikt nie zasłyszał o nim, ani w ojczyźnie, ani na wygnaniu. Mimo to jednak Czikosy z Puszty i pasterze Szeklerscy długo utrzymywali, że Petoefi żyje ukryty między swymi.

„Niech tylko wybije szczęśliwsza godzina dla Węgier, a nasz lirnik stanie w pośród nas! powtarzano z wiarą głęboko."

Szczęśliwsza godzina wybiła, a Petoefi nie powrócił.

J. K. G.

Szczęście.

Szczęście!... gdzie szczęście? świat cały pyta,
Wyciąga dłonie i ślepo chwyta
Pajęczą tkankę złudzenia!
A bezgraniczną żądzą miotany,
Tajemną siłą naprzód wciąż gnany,
Pędzi i kona z pragnienia.

(*) Dzieje Węgier. Warszawa, 1863 r.

Stój, stój niebaczny! Oto przed tobą,
Przepaść pokryta cieniów żałobą,
Na świeże czyha ofiary...
Chcesz znaleźć szczęście? a wiesz ty o tem,
Że je masz w duszy skalanej błotem
Cynizmu — pychy — niewiary?

Bo z najbrudniejszych życia kałuży,
Wszędzieś zaczerpnął w swojej podróży,
Chcąc usta zwilżyć spalone;
O! zaślepieńcze! żar przykładałeś,
Chciwie, namiętnie, truciznę ssałeś
Gasząc porywy szalone...

Zbadaj najskrytsze własne tajniki —
Tleją tam jeszcze święte płomyki,
Tej wszechpotężnej miłości,
Która dla wszystkich wspólnem ogniskiem,
Która ogarnia jednym uściskiem,
Krocie milionów ludzkości?...

Jeśli twa dusza kochać tak umie,
I łaski Bożej światłem rozumie
Żywota wielkie zadanie...
Jeżeli modłą ku niebu wzlata,
I cicho patrząc na winy brata —
Poszepnie: „Przebacz mu Panie!"

Jeżeli skarga żalu, niedoli,
Echem ci w piersi jęknie, zaboli,
Jak dzwon tęskniąco na grobie;
Jeśli twe serce bije goręcej...
O! wówczas, wówczas nie pragnij więcej,
Bo szczęście twoje przy tobie!

Nie goń za marą widziadeł sennych,
Ale w swej duszy głębiach bezdennych,
Jasnego szukaj anioła!
Co ci chryzmatem pokoju, wiary,
Nędzy moralnej zetrze proch stary,
I gwiazdą błyśnie u czoła...

Bronisława Kordzikowska.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

Teraz już na dobre usnęła, nie tak jednakże twardo jak zwyczajnie, bo około godziny czwartej jakiś szum nagle ją przebudził. Padał deszcz ulewny i bił w wielkie dwa okna pokoju Bettiny.

— Ah! deszcz pada — rzekła do siebie — zmoknie biedny!

To była jej myśl pierwsza. Uczuła, że już byłoby dla niej niepodobieństwem zasnąć po raz drugi. Wzięła na siebie lekki, ranny szlafroczek, usiadła przy oknie i na spadające strugi deszczu patrzyła. Kiedy już on koniecznie z pułkiem wyjść musi, chciałaby przynajmniej aby wychodził w czas piękny, pod jasnemi promieniami słońca przyświecającego pierwszemu dniu marszu.

Przyjeżdżając do Longuevalu, miesiąc temu, Bettina nie wiedziała zgoła co to dzień marszu znaczy. Dziś wie już o tem. Dzień marszu artyleryi, jest to przestrzeń trzydziestu lub czterdziestu kilometrów, z godziną wypoczynku w połowie drogi. Ksiądz Konstanty nauczył ją tego, podczas ich porannych wycieczek do chorych, Bettina zarzuca proboszcza pytaniami, najczęściej o rzeczy wojskowe się rozpytuje, a szczególnie o służbie artyleryjskiej mówić lubi.

Ośm czy dziesięć mil w deszcz tak ulewny! Biedny Jan! Bettinie przychodzi na myśl mały Turner, mały Norton, Paweł de Lavardens, którzy sobie najspokojniej spać będą do dziesiątej z rana, podczas gdy Jan moknąć będzie na deszczu i słocie.

Paweł de Lavardens! to nazwisko obudza w jej umyśle wspomnienie, które teraz staje się dla niej bolesnem, wspomnienie tego walca, wczorajszego wieczora... Tańczyć kiedy cierpienie Jana było tak widocznem! Ten walc przybiera teraz w oczach Bettiny rozmiary zbrodni i to okropne co ona zrobiła!

A potem, czyż nie zbrakło jej odwagi i szczerości, w tej ostatniej z Janem rozmowie?... On, nie mógł, nie śmiał jej nic powiedzieć; ale ona powinna była okazać więcej czułości. Smutny i cierpiący jakim był, jakże mogła pozwolić, aby powracał pieszo?... Należało go zatrzymać koniecznie! Wyobraźnia Bettiny burzy się i egzaltuje. Jan musiał wczoraj wynieść wrażenie, że ona jest złą małą istotką, bez litości i serca!

I za pół godziny on się oddali, oddali na całych dni dwadzieścia... Ach! gdyby miała środek jaki... Alež ten środek istnieje... Pułk będzie przeciągać wzdłuż muru parku, po pod terasą. I oto Bettinę opanowywa szalona chęć widzieć przejeżdżającego Jana. Zrozumi on to dobrze, widząc ją tam, o tej godzinie, że przychodzi prosić go o przebaczenie za wczorajsze swoje okrucieństwa... Tak, pójdzie tam... Ależ przyrzekła Suzie, że będzie rozsądną, bardzo rozsądną, a robiąc to co chce zrobić, czy okaże wiele rozsądku? Skończy się na tem, że wróciwszy przyzna się do wszystkiego przed siostrą i Suzie przebaczy.

Pójdzie! pójdzie! Ale jak tu się ubrać? Nie ma nic innego pod ręką jak tylką swą sukienkę balową i ten szlafroczek muślinowy, pantofelki i balowe trzewiczki, niebieskie, atłasowe. Zbudzić służącą, za nic tego nie zrobi... a potem, czas mija, potrzeba się spieszyć... trzy kwadranse na piątą! Pułk o piątej wychodzi z miasteczka.

Może dać sobie radę z szlafroczkiem muślinowym i balowemi trzewikami; w przedpokoju znajdzie kapelusz, swoje małe ogrodowe kaloszyki i wielki pled szkocki, który bierze na siebie gdy powozi w dzień słotny. Otwiera drzwi od swego pokoju z największemi ostrożnościami; wszyscy śpią w zamku, przesuwa się po pod ścianami, przez kurytarze, schodzi po schodach i jest już w przedpokoju.

Gdyby przynajmniej kaloszyki były na zwykłem miejscu! w tej chwili ta myśl wyłącznie ją zajmuje. Ale oto są one. Przypina je po wierzch swych trzewiczków balowych, obwija się w pled szkocki. Słyszy jak wiatr i deszcz wzmagają się na dworze. Spostrzega jeden z tych ogromnych parasolów przedpokojowych, których używają lokaje gdy na kozioł siadają w dzień słotny; porywa go i już jest gotową... lecz gdy chce wyjść, widzi że szklanne drzwi sieni ogromną sztabą żelazną założone. Stara się ją wysunąć, ale sztaba ciężka, silny opór stawia, a wielki zegar w przedpokoju bije godzinę piątą. Pułk wychodzi w tej chwili, a z nim i on!

Ona chce go widzieć! chce go widzieć koniecznie! Wola jej potęguje się wobec przeszkód. Natęża swe słabe siły, sztaba ustępuje, sunie się w swym rowku... Ale Bettina wzdłuż całej ręki boleśnie się zadrapała i krew potrochu się sączy. Mocno obwiązuje rękę chustką, bierze wielki parasol, zakręca kluczem w zamku, drzwi się odmykają. Nareszcie!

Czas jest okropny. Wiatr i deszcz szaleją. Potrzeba ośmiu do dziesięciu minut czasu, aby dostać się do terasy z której widać drogę. Bettina śmiało puszcza się naprzód, z głową pochyloną, okryta swym olbrzymim parasolem. Już uszła kroków z pięćdziesiąt. Nagle, szalony, wściekły, oślepiający wicher uderza na Bettinę, wkręca się w zwoje pledu, popycha ją, prawie z ziemi unosi i gwałtownie wykręca parasol. To nic jeszcze, klęska staje się zupełną. Bettina spostrzega, że zgubiła jeden ze swych kaloszyków... Bo nie były to kalosze poważne, praktyczne, ale zgrabniutkie, malutkie kaloszyki na dnie pogodne.

I w tejże chwili, kiedy Bettina zrozpaczona walczy przeciw burzy, w swym atłasowym trzewiczku grzęznącym w mokrym piasku, w tejże chwili, wiatr przynosi do jej ucha daleki głos trąbek wojskowych. To pułk wyrusza! Bettina rzuca parasol, znajduje swój mały kaloszyk, przyczepia go jak może i biegnie ku terasie, wśród deszczu lejącego jak w dzień potopu.

Nareszcie jest pod drzewami, one trochę ją osłaniają. Znowu się trąby odezwały, tym razem już bliżej. Bettinie zdaje się, że słyszy turkot wozów. Jeszcze kilkadziesiąt kroków, jeszcze ostatnie wysilenie. Lecz oto i terasa. Jest już na niej... w sam czas przybiegła! Spostrzegła o jakie dwadzieścia już metrów, białe konie trębaczy a za nimi, na drodze, widzi wijący się we mgle deszczowej, długi szereg armat i jaszczyków. Chroni się pod jedną ze starych lip terasy. Patrzy, czeka. On jest tam, wśród tej niewyraźnej masy jeźdźców. Czy będzie mogła go poznać? A on, czy ją spostrzeże? Jaki wypadek głowę jego zwróci w tę stronę?

Bettina wie, iż on jest porucznikiem w drugiej bateryi swego pułku; wie także iż baterya składa się z sześciu dział i sześciu jaszczyków. To ksiądz Konstanty tego wszystkiego ją nauczył. Należy więc dać przejść pierwszej bateryi, to jest przeliczyć sześć armat i sześć jaszczyków, a potem będzie on...

To on rzeczywiście, okryty wielkim płaszczem żołnierskim i to on, który pierwszy ją widzi, poznaje. Na kilka minut przedtem, przypomniał sobie długi spacer z nią razem, jednego wieczora, o zmroką, na terasie. Podniósł oczy i na tem samem miejscu w którem się byli wtedy zatrzymali, teraz znowu ją znajdował.

Skłonił się jej i z odkrytą głową, na deszcz nie zważając, zwracając się na koniu w miarę jak się oddalał, dopóki mógł ją widzieć, patrzył w upojeniu. Powtarzał sobie to co mówił wczorajszego wieczora:

— To już raz ostatni!

Ona, gestem rąk obu, posyłała mu pożegnania, po kilka razy powtórzone, zbliżając swe ręce tak blizko, tak blizko do swych usteczek, że można było posądzić...

— Ah! — mówiła sobie — jeżeli już po tem, on

nie zrozumie, że ja go kocham i nie przebaczy mi moich pieniędzy!...

IX.

Jesteśmy w dniu 10 sierpnia, w dniu w którym Jan ma wrócić do Longuevalu.

Bettina budzi się bardzo wcześnie, wstaje i natychmiast biegnie do okna. Jasne słonko przebija i już rozpędza gęste mgły poranne. Niebo, wczoraj nad wieczorem, było groźne, ciężkiemi chmurkami okryte. Bettina mało spała i przez całą noc powtarzała sobie:

— Byle tylko jutro deszcz nie padał.

Dziś czas będzie przepyszny. Bettina jest trochę przesądną. Ten piękny czas dodaje jej nadziei i odwagi. Dzień dobrze się zaczyna, należy sądzić że dobrze się skończy.

Pan Scott wrócił już od dni kilku. Bettina czekała go na wybrzeżu, w Hawrze, za przybyciem parowca, wraz z Suzie i z dziećmi. Uściskano się bardzo czule, Bóg wie ile razy. Potem Ryszard zwrócił się do Bettiny.

— No i jakże! — rzekł śmiejąc się — kiedyż ślub?

— Jaki ślub?

— Z panem Janem Reynaud.

— Ah! moja siostra pisała?...

— Suzie? Ani słowa... Suzie nic podobnego mi nie donosiła. To ty sama, Bettino, pisałaś o tem. We wszystkich twoich listach, od dwóch miesięcy, o niczem innem nie mówiłaś, tylko o tym młodym oficerze?

— We wszyskich listach?

— Tak, tak... i pisywałaś do mnie częściej i dłużej niż kiedykolwiek. Nie uskarżam się na to bynajmniej, ale zapytuję, kiedy mi mego szwagra zaprezentujesz?

Żartował to mówiąc, ale Bettina odpowiada:

— Mam nadzieję, że wkrótce.

Pan Scott dowiaduje się, że sprawa jest poważną. Powracając, w wagonie, Bettina prosi go o zwrot swych listów. Odczytuje je. W tych listach, rzeczywiście, jest wzmianka o Janie bodaj czy nie na każdej stronicy. Odznajduje tam, opowiedziane z najdrobniejszemi szczegółami, pierwsze z nim spotkanie. Ot i portret Jana, w ogrodzie proboszcza, ze swym kapeluszem słomianym w jednym, a salaterką fajansową w drugim ręku... a potem znowu pan Jan i ciągle pan Jan! Odkrywa, że go kocha od daleko dawniejszego czasu aniżeli myślała.

Jesteśmy zatem w dniu 10 sierpnia. Tylko co w zamku wstano od śniadania. Harry i Bella się niecierpliwią. Wiedzą, że dziś pułk wraca, że będzie przez wieś przechodzić między pierwszą a drugą. Przyrzeczono im, że ich przyprowadzą zobaczyć żołnierzy, a dla nich równie jak i dla Bettiny, powrót 9-go pułku artyleryi jest wielkim wypadkiem.

— Ciociu Betty — woła Bella — ciociu Betty, chodź z nami.

— Chodź, chodź — dodaje Harry — zobaczymy naszego przyjaciela Jana na wielkim siwym koniu.

Bettina opiera się, nie chce, a jednak jakaż pokusa! Ale nie, nie pójdzie, nie obaczy Jana aż dopiero wieczorem, dla tego ostatecznego wyjaśnienia do którego, od dwudziestu dni się przygotowywała.

Dzieci idą ze swojemi guwernantkami. Bettina, Suzie i Ryszard wychodzą do ogrodu w parku, niedaleko zamku w cieniu zasiadają.

— Suzie — mówi Bettina — dziś muszę ci przypomnić twoją obietnicę. Czy przypominasz sobie co zaszło między nami, tego wieczora jak on odjeżdżał. Umówiłyśmy się, że jeżeli w dzień jego powrotu ja ci powiem: Suzie, jestem pewna, że go kocham, przyrzekłaś, że mi pozwolisz udać się otwarcie do niego i zapytać czy chce mnie wziąć za żonę.

— Tak jest, obiecałam ci to. Ale jestżeś pewną?...

— Najzupełniej pewną. Uprzedzam cię zatem że mam zamiar przyprowadzić go... patrz, ot tu, na to samo miejsce — dodała śmiejąc się — na tę ławeczkę... i chcę mu powiedzieć mniej więcej to samo, coś ty kiedyś mówiła Ryszardowi... Tyś dobrze wyszła na tem, moja Suzie... jesteś zupełnie szczęśliwą. I ja, pragnę być nią także... Ryszardzie, czy Suzie mówiła ci o panu Reynaud?

— Tak jest i mówiła mi, że o żadnym człowieku nie ma tak dobrego wyobrażenia jak o nim, ale..

— Ale mówiła ci także, że może to będzie dla mnie związek trochę za spokojny, trochę mieszczański... o! niedobra siostro! Czy uwierzysz, Ryszardzie, że tej obawy nie mogę jej wybić z głowy. Nie chce rozumiéć, że ja chcę, przedewszystkiem, kochać i być kochaną... Czy uwierzysz, Ryszardzie, że w przeszłym tygodniu, zastawiła na mnie okropną pułapkę. Musisz wiedziéć, że jest sobie na świecie, pewien książę Romanelli?

— Wiem, wiem i to jeszcze, że mogłaś zostać księżną.

— Mogło to się stać, jak sadzę, bez wielkich trudności... Otóż, jednego dnia, byłam tak nieostrożną, że powiedziałam przy Suzie, że ze wszystkich moich pretendentów, książę Romanelli, w ostateczności, byłby znośnym. Wyobraź sobie co ona robi? Turnerowie byli w Trouville. Suzie układa mały spisek wraz z panią Turner... I zmuszają mnie jeść śniadanie w towarzystwie księcia. Ale skutek był fatalny... Znośny!... o Boże!... Dwie godziny, które z nim spędzić musiałam, przeszły mi na rozpamiętywaniu i dziwieniu się jak mogłam powiedziéć te słowa... Nie, Ryszardzie, nie, Suzie, nie chcę być ani księżną, ani hrabiną, ani margrabiną. Ja chcę być panią Janową Reynaud... jeżeli pan Jan Reynaud na to się zgodzi... co wcale pewnem nie jest.

Pułk wstępował do wioski i nagle rozległy się trąb dźwięki, marsz wojenny, dziarski i wesoły, rozbudził echa parku. Wszyscy troje umilkli. To pułk, a z nim i Jan przychodził... Dźwięk trąb się oddalał, słabnął i znikł nareszcie, a Bettina dalej mówiła:

— Tak, to nie jest pewnem. Kocha mnie jednakże, kocha bardzo, ale nie wiedząc dobrze jaką ja jestem. Ja myślę żem warta być kochaną inaczej, myślę, że nie budziłabym w nim podobnej obawy, gdyby znał mnie lepiej i to dlatego proszę was o pozwolenie rozmówienia się z nim szczerze, swobodnie, z sercem na dłoni.

— Dajemy ci je siostrzyczko — odpowiedział Ryszard — dajemy ci je i ja i ona... Wiemy, że nic nie zrobisz takiego, Bettino, coby nie było zacnem i szlachetnem.

— Sprobuję przynajmniej.

Dzieci wróciły pędem. Widziały Jana, był biały od kurzu, witał się z niemi.

— Tylko — dodała Bella—dziś nie był grzeczny, nie zatrzymał się, ażeby z nami pomówić... zwykle staje a dziś nie chciał stanąć.

-- Nie, nie — przerwał Harry — Bella źle mówi: chciał stanąć, bo nawet konia swego zwrócił do nas, a potem dopiero nie chciał i pojechał dalej.

— Dość, że nie stanął, a szkoda! to tak przyjemnie rozmawiać z wojskowym, szczególnie kiedy na koniu.

— To nie tylko to my go bardzo kochamy, pana Jana. Gdyby papa wiedział jaki on dobry, jak on umie się z nami bawić.

— A jak ładnie rysuje!... Harry, czy ty pamiętasz tego wielkiego Poliszynela, co taki był śmieszny ze swoim kijem?...

— A kot? kot w butach! jeszcze był śmieszniejszy, jak u Guignola, w Paryżu.

Dzieci pobiegły, rozprawiając między sobą o swym przyjacielu Janie.

— Coś tego pana Jana — rzekł Ryszard — wszyscy w całym domu bardzo kochają.

— I ty tak samo pokochasz go, jak się poznacie — odpowiedziała Bettina.

Pułk przeszedłszy przez wioskę, puścił się kłusem po wielkiej drodze... Otóż i terasa na której stała Bettina owego pamiętnego poranka... Jan pomyślał: „A gdyby teraz tam była!" Lęka się tego i pragnie zarazem... Podnosi głowę... Patrzy... Nie ma jej!

Nie widział jej teraz. Więcej już jej nie zobaczy, przynajmniej na czas bardzo... bardzo długi. Ma wyjechać dzisiejszego wieczora o godzinie szóstej do Paryża. Jeden z dyrektorów w ministerstwie wojny dobrze mu jest znany. Musi się postarać o przeniesienie do innego pułku.

Tam, w obozie Cercottes, Jan dużo rozmyślał i zastanawiał się nad swem położeniem, a skutkiem tych rozmyślań było postanowienie, że nie może, nie powinien być mężem Bettiny.

Artylerya jest już w swych koszarach; żołnierze zsiadają z koni, wyprzęgają działa i jaszczyki. Jan żegna się ze swym pułkownikiem i towarzyszami. Wszystko skończone. Jest wolny, mógłby jechać... A jednakże nie jedzie. Rozgląda się wokoło siebie... Jaki on był szczęśliwy, trzy miesiące temu, gdy konno wyjeżdżał z tego wielkiego dziedzińca, wśród huku armat toczących się po bruku miasteczka! A dziś, jakże smutny odjeżdżać będzie! Dawniej jego życie było tu... gdzież teraz będzie ono?

Wchodzi do swego mieszkania. Pisze do pani Scott, mówi jej, że dla spraw służbowych musi wyjeżdżać natychmiast, że nie może być w zamku na obiedzie, prosi pani Scott, aby go przypomniała pamięci panny Bettiny... Bettiny! O! jakże mu było trudno napisać to imię... List pieczętuje... Poszle go za chwilę.

Przygotowuje się do podróży. Potem pojedzie pożegnać się ze swym ojcem chrzestnym. To go najwięcej kosztować będzie... Ale nie powie mu jak tylko o wyjeździe na czas krótki.

Otwiera jedną z szuflad biurka, aby wziąć z niej pieniądze. Pierwszy przedmiot, który w oczy mu wpada, jest mały liścik na niebieskawym papierze. Jedyny to bilecik jaki od niej otrzymał:

„Bądź pan tak dobry i racz wręczyć oddawcy książkę o której mówiłeś pan wczoraj wieczorem. Może za poważną będzie dla mnie... Jednak sprobuję ją przeczytać... Do widzenia wkrótce... Przychodź pan jak najwcześniej."

Podpisano: *Bettina*. Jan czyta i odczytuje tych kilka wierszy... Ale oto już i czytać nie może, ciemno mu się w oczach zrobiło.

— To jest wszystko co mi po niej zostanie! — z boleścią powtarza sobie.

W tymże czasie ksiądz Konstanty na probostwie, sam na sam z Pauliną, liczą pieniądze i robią rachunki. Położenie finansowe jest znakomite. Więcej jak dwa tysiące franków w kasie! Życzenia Suzie i Bettiny spełniają się: nie ma już biednych w parafii. Stara Paulina, miewa nawet czasami skrupuły sumienia.

— Niech no ksiądz proboszcz pomyśli — mówi ona — czy my czasami nie dajemy za wiele. To już poczyna się rozchodzić i po innych gminach, że tu rozdają jałmużnę przy otwartej kasie. Wie ksiądz proboszcz, co wkrótce stać się może? Zewszą będą się ściągać ubodzy i umyślnie osiadać w Longuevalu.

Ksiądz daje pięćdziesiąt franków Paulinie, ona wychodzi, aby je zanieść biednemu człowiekowi, który złamał sobie rękę spadając ze stogu siana.

Ksiądz Konstanty sam zostaje na probostwie. Jest czegoś zamyślony. Czekał na przejście pułku, ale Jan tylko na małą chwilkę się zatrzymał, jakimciś smutnym mu się wydał. Już od pewnego czasu, proboszcz to dobrze uważał, Jan stracił dobry humor i wesołość swą dawną. Proboszcz nie bardzo się tem niepokoił, sądząc, że to musi być jedno z tych małych zmartwień młodości, w które staremu jak on księdzu wdawać się nie wypada. Ale dzisiejszy smutek Jana, zanadto był wyraźny.

— Ja wrócę wkrótce, mój ojcze — rzekł on proboszczowi — mam z wami do pomówienia.

I szybko odjechał. Ksiądz Konstanty nie miał nawet czasu dać Lulowi jego kawałka cukru, a raczej kawałków cukru, bo włożył ich pięć czy sześć do swej kieszeni, przez wzgląd, że bienny Lulu dobrze zasłużył na ten specyał, zrobiwszy tyle drogi i przepędziwszy dwadzieścia nocy pod gołem niebem. Zresztą od czasu osiedlenia się pani Scott w zamku, Lulu bardzo często dostawał po kilka kawałków cukru. Ksiądz Konstanty stawał się rozrzutnym, marnotrawnym; czuł się być milionowym panem, cukier dla konia Jana był jednem z jego szaleństw. Pewnego dnia nawet, o mało nie powiedział swej wiecznej przemowy:

— To pochodzi od nowych właścicielek Longuevalu. Pamiętaj modlić się za nie.

Była już godzina trzecia, gdy Jan przybył na probostwo, ksiądz rzekł mu natychmiast.

— Mówiłeś, że chcesz pogadać ze mną... O cóż to chodzi?

— O rzecz, mój ojcze, która was zadziwi i zmartwi, tak jak mnie samego martwi bardzo. Przyjechałem pożegnać się z wami.

— Pożegnać się! ty wyjeżdżasz?

— Tak jest, wyjeżdżam.

— Kiedy?

— Dziś jeszcze... za dwie godziny.

— Za dwie godziny! ależ mieliśmy być razem na obiedzie w zamku.

— Tylko co pisałem do pani Scott, aby się wytłomaczyć i przeprosić. Zmuszony jestem wyjechać.

— Koniecznie zaraz?

— Koniecznie.

— I gdzież jedziesz?

— Do Paryża.

— Do Paryża! Zkądże to nagłe postanowienie?

— Nie tak bardzo nagle. Od dawna myślę już o tym wyjeździe.

— I nic mi nie mówiłeś! Janie, coś niezwyczajnego z tobą się dzieje... Jesteś już człowiekiem i nie mam prawa postępować z tobą jak z dzieckiem, ale jednak, ty wiesz jak ja ciebie kocham... Jeżeli masz jakie przykrości, zmartwienia. to czemu nie mówisz mi o nich? Kto wie? może potrafiłbym dać ci dobrą radę... Powiedz, po co jedziesz po Paryża?

— Wolałbym, ojcze, nie mówić wam tego... Bo to wam przykrość sprawi... Ale macie prawo wiedzieć... Jadę do Paryża starać się o przeniesienie do innego pułku.

— Do innego pułku! opuścić Souvigny...

— Na jakiś czas krótki; lecz opuszczę Souvigny, właśnie tego pragnę, to dla mnie jest koniecznem.

— A już, mój Janie, o mnie to i nie pomyślałeś?... Na krótki czas!... na krótki czas! Ależ to tyle tylko do śmierci mi zostaje, krótki czas. I przez te dnie ostatnie, które jeszcze mam z łaski Boga, to było mojem szczęściem, tak, Janie, to było mojem szczęściem, widzieć cię przy mnie, czuć cię przy sobie. I ty byś odjechał, mój Janie? miej cierpliwość, zaczekaj trochę, to nie przeciągnie się długo, zaczekaj dopóki nie odejdę tam, gdzie twój ojciec i matka... Nie odjeżdżaj, mój Janie, nie odjeżdżaj jeszcze.

— Jeżeli mnie kochacie, mój ojcze, i ja was kocham bardzo... i dobrze wiecie o tem.

— O! wiem, wiem o tem.

— Mam dla was toż same przywiązanie jakie miałem będąc dzieckiem, kiedyście mnie wychowywali. Moje serce nie zmieniło się, nigdy się nie zmieni... Ale jeśli obowiązek, honor, zmuszają mnie abym jechał...

— Ha! jeżeli to rzecz obowiązku, honoru!... nic już nie mówię, mój Janie... Wszystko przed tem ustąpić musi, wszystko, wszystko!... Zawsze cię znałem dobrym sędzią w rzeczach obowiązku; w rzeczach honoru... Jedź więc, moje dziecię, jedź. Ja o nic cię nie pytam, ja nic nie chcę wiedzieć.

— Ale ja, chcę wszystko powiedzieć wam, mój ojcze — zawołał Jan wzruszeniem pokonany. — Może i lepiej będzie, gdy się o wszystkiem dowiecie. Wy zostajecie tu, wy będziecie w zamku... wy ją widzieć będziecie...

— Kogo?

— Bettinę.

— Bettinę?

— Ja ją kocham! mój ojcze, kocham ją!

— O! moje biedne dziecię!

— Przebaczcie mi, że mówię wam o takich rzeczach... Ale mówię o nich jakbym mówił przed rodzonym ojcem. A potem... z nikim nie mogłem o tem mówić, a to mnie dusiło... Tak, jest to szaleństwo które powoli mnie opanowało, pomimo mej woli, bo pojmujecie dobrze... Mój Boże! wszakże to tu właśnie pacząłem ją kochać. Wszak pamiętacie, kiedy przyjechała wraz z siostrą... małe ruloniki złota... włosy, które jej się rozrzuciły... a wieczorem, majowe nabożeństwo?... Potem, danem mi było widywać ją swobodnie, poufale... i ty sam ojcze, ciągle mówiłeś mi o niej, wychwalałeś nieustannie dobroć jej, łagodność. Ileż to razy mi powtarzałeś, że na świecie nie ma lepszej istoty!

— Bo tak myślałem... i jeszcze myślę toż samo, a nikt nie może jej znać lepiej ode mnie, bo ja jeden widywałem ją u ubogich i przy łóżku chorych. Gdybyś ty wiedział, w naszych rannych wycieczkach, jaka ona bywa czuła, a jaka przytem dzielna! Ani nędza największa, ani choroby i cierpienia jej nie odstręczają... Ale ja źle robię mówiąc ci to wszystko.

— Nie, nie, nie chcę jej widzieć więcej, ale chciałbym jak najwięcej słyszeć o niej.

— Nigdy w życiu swojem nie spotkasz, mój Janie, kobiety lepszej i z bardziej wzniosłemi uczuciami. Do tego stopnia, że dnia pewnego, zabrała mnie z sobą do odkrytego powozu, pełnego zabawek dziecinnych, wiozła te zabawki dla małej chorej dziewczynki i oddając je, ażeby ją rozweselić, tę małą, aby ją zająć, zabawić, sama się z nią tak poczciwie, tak milutko bawiła, żem pomyślał o tobie i mówiłem w duchu, w tej chwili to sobie przypomniałem: „Ah! czemuż ona nie jest ubogą!”

(*D. n.*)

Z ruchu naukowego.

Przesłanie siły mechanicznej na wielkie odległości za za pomocą elektryczności. — Akumulator Faure'a. — Welocyped trójkołowy elektryczny. — Statek elektryczny. — Nowa maszyna dynamo-elektryczna sir Wiliama Thompson. — Próby spożytkowania naturalnych sił przyrody. — Badania nad fizyologią zmysłów. — Wycinanie lasów jest powodem powodzi i zmiany klimatów. — Bielenie dyamentów.

W wieku obecnym elektryczność tak z każdym dniem niemal wszechstronniejsze znajduje zastosowanie, iż ani wątpić, że w niedalekiej może przyszłości stanie się najpotężniejszą dźwignią przemysłu i techniki. Przed nie wielu jeszcze laty niktby nie przypuszczał, że siłę mechaniczną można przenosić na wielkie nawet odległości za pomocą zwykłych drutów telegraficznych—a jednak jest to dziś faktem dokonanym, jak tego dowiódł p. Desprez podczas wystawy elektryczności w Monachium. Na żądanie elektro-technicznego komitetu wystawy, aby powtórzył swe doświadczenia przenoszenia siły na wielkie odległości, uczony ten kazał ustawić w Monachium i w Miesbach maszyny, któremi posługiwał się w laboratoryum. Oddana do jego rozporządzenia linia telegraficzna, miała 57 kilometrów długości. P. Desprez żądał aby podwojono ją za pomocą drugiego zupełnie takiegoż samego drutu, co podnosiło długość linii do 114 kilometrów. Maszyny ustawione w Misbach i w Monachium były zupełnie jednakowe.

W pierwszem zaraz doświadczeniu otrzymano w Monachium pracę równającą się 38 kilogrametrom na sekundę co odpowiada pół-koniowi z prędkością 1500 obrotów na minutę. Maszyna wytwarzająca siłę ustawiona w Miesbach obracała się z prędkością 2,200 obrotów, a stosunek pracy uzyskanej w Monachium odnośnie do zużytej w Miesbach, równał się przeszło 60 na 100. Oprócz tego robiono tam także próby z pompką odśrodkową zastosowaną do małej kaskady, dla wykazania możności zużytkowania przyrodzonych sił hidraulicznych dotąd zupełnie bezczynnych.

Dotąd siłę mechaniczną wytwarza się za pomocą pary, lecz to wtedy tylko jest ekonomicznem gdy się działa na wielką skalę, w skutku czego nie da się zastosować do drobnego przemysłu domowego, który też musiał ustąpić fabrycznemu, z wielką krzywdą życia rodzinnego i groźnemi dla społeczeństwa następstwami.

Skutkiem ustania drobnego przemysłu, całe rodziny biednych robotników zniewolone są pracować po fabrykach, małżonkowie, rodzice, dzieci, nie widzą się cały dzień, a wróciwszy po ciężkiej pracy znużeni i głodni, myślą tylko o pożywieniu się i spoczynku. Tak więc wielkie fabryki nietylko dozwalają bogaczom wyzyskiwać ciężką pracę biednych pracowników, ale co gorzej, podkopując podstawy życia rodzinnego, przyczyniają się do zdziczenia obyczajów i stają się najniezawodniej jedną z głównych przyczyn groźnych wstrząśnień i zaburzeń społecznych. Możność powrotu do przemysłu domowego nader silnie przyczynić się może do podniesienia moralnego poziomu i dobrobytu pracujących sfer społecznych, a dokonać tego zdoła tak zwany *akumulatur* Faure'a, uważany przez uczonych za jedno z najważniejszych, najpłodniejszych w następstwa odkryć naukowych. Dzięki jemu można wytwarzać siłę mechaniczną po nizkich cenach i za pomocą elektryczności przenosić ją i zastosowywać gdzie jest potrzebną. W niedalekiej zatem przyszłości, każdy robotnik będzie mógł otrzymywać co rano, w własnem domowem ognisku, zapas siły mechanicznej potrzebnej mu do całodziennej pracy. Obecnemu już zastosowaniu akumulatora do rozlicznych użytków, już sama tylko ciężkość przyrządu stoi na przeszkodzie. Budowa tego przyrządu polega na znanem odkryciu Gastona Planté, odnoszącem się do tak zwanych prądów wtórnych czyli polaryzacyjnych. Jeżli prąd elektryczny przechodzi przez jakiś płyn, który rozkłada na części składowe, to elektrady przeprowadzające prąd zostają spolaryzowane, tak, że złączywszy je po usunięciu prądu pierwotnego, otrzymujemy prąd nowy, wprost przeciwny pierwotnemu. Z tej wychodząc zasady, już wspomniany Planté zbudował stosy wtórne, w ten sposób, że w naczyniu zawierającem wodę zakwaszoną kwasem siarczanym, umieścił dwa elektrady i przepuścił przez wodę prąd. Gdy ustało działanie prądu, połączone z sobą elektrady dają prąd wtórny, którego natężenie zależy od natężenia prądu pierwotnego. Akumulator Faure'a, jest udoskonaleniem elementów Planté'go.

Z początku świat uczony uważał wynalazek ten za zajmującą naukową zabawkę, lecz niebawem przekonano się, że ulepszony i zastosowany przez sir Wiliama Thomson'a, najznakowitszego z tegoczesnych fizyków, akumulator ma przed sobą wielką przyszłość i znalazł już liczne zastosowania. Gromadząc w ciągu dnia elektryczność, wieczorem służy do oświetlenia. W Londynie posługują się akumulatorami do oświetlania Alhambra, Court, Crystale palace, hotel Charing Cross i kilku innych, a w Paryżu Théatre de Variété i foyer Wielkiej Opery. Na kolejach żelaznych pomiędzy Londynem i Brighton, jakoteż pomiędzy Frankfurtem i Hanau, używane są do oświetlania wagonów podczas jazdy. Nie dawno użyto także akumulatorów do wywoływania niewidzialnych dotąd efektów scenicznych. W wystawionej niedawno w Londynie operetce „Jolantha" po nad głowami aktorek unosiła się aureola z gwiazd błyszczących światłem elektrycznem, wywołanych elektrycznością nagromadzoną w małych akumulatorach umieszczonych na plecach aktorek. W City londyńskiej można widzieć codziennie wielkie piły, tokarnie, prasy drukarskie i rozmaite maszyny poruszane siłą elektryczności, przeprowadzoną z akumulatorów umieszczonych w pewnej odległości i zasilających kilka warsztatów rzemieślniczych.

Jednem z nader ciekawych zastosowań tego prawdziwie cudownego wynalazku, jest welocyped trójkołowy „Tricycle" poruszany akumulatorem umieszczonym pod siedzeniem. Jadący nim, potrzebuje tylko kierować, akumulator sam spełnia wybornie zadanie konia pociągowego. Mechanizm tak jest urządzony, iż welocyped z łatwością wchodzi pod górę i spuszcza się na dół. W ciągu godziny można przebyć nim blizko siedm mil angielskich.

Jak tylko udało się zbudować motor elektryczny, nie można było wątpić, iż da się on zastosować i do żeglugi. Już przed czterdziestu-kilku laty probowano budować statki elektryczne, okazało się to przecież niepraktycznem z powodu, że siła poruszająca nader była kosztowna. Dopiero spuszczony na Tamizę w końcu września r. z. przewyższył wszystkie dotąd zbudowane. Statek ten pomysłu inżyniera Reckenzaun miał 25 stóp długości, 5 szerokości i poruszany był siłą elektryczności nagromadzonej w dwudziestu pięciu akumulatorach; prędkość jego wynosiła około 8,000 w górę rzeki. Pomimo jednak tak pomyślnego rezultatu próby, nie można jeszcze wyrokować czy już obecnie elektryczność może w żegludze zastąpić parę, gdyż nie zbadano dotąd dostatecznie warunków ekonomicznych, jakie zachodzą przy zastosowaniu jej na większą skalę.

Obecnie uczeni nader żywo zajmują się maszyną dynamo-elektryczną zbudowaną przez sir Wiliama Thomson'a i Ferrants'ego. W dotychczasowych maszynach pożądane są udoskonalenia dwojakiego rodzaju: 1) odnoszące się do wydajności, t. j. stosunku pomiędzy pracą mechaniczną zużytą do wytwarzania elektryczności, a pracą jaką wykonać może wytworzona elektryczność; 2) udoskonalenia odnoszącego się do wytwarzania elektryczności sposobem jak najtańszym.

Co do pierwszego punktu trudno obiecywać sobie znacznych udoskonaleń, gdyż już obecnie istniejące maszyny przedstawiają wydajność wynoszącą od 70 do 80 % na sto i zdaje się, że już nie wiele wyżej będzie można dojść w praktyce. Drugie udoskonalenie jest nadzwyczaj ważne dla przemysłu i od niego zależy przyszłość całej techniki elektrycznej. Otóż nowa maszyna Thomson'a przechodzi wszelkie oczekiwania, gdyż wytwarza prąd elektryczny pięć razy taniej niż wszelkie znane dotychczas maszyny dynamo-elektryczne.

(*D. n.*)

POGADANKA.

Karnawał dobiega końca, a za to kronika karnawałowa coraz to obfitsza w szczegóły. Bali prywatnych nie spisałby na wołowej skórze a i publicznych nie mało. Jakże miło tu dodać, że z większą częścią zabaw publicznych łączy się cel pożyteczny.

Na pierwszem miejscu stawiamy bal na rzecz niezamożnych studentów. Jest to jedna z najpopularniejszych zabaw w Warszawie. Społeczeństwo rozumie, jakie znaczenie ma nauka, a ocenia zarazem te liczne trudności z jakimi muszą walczyć ci, co do zdobycia tej wiedzy dążą. Trzeba przyznać, że młodzież garnie się do nauki skwapliwie, że korzysta z każdej możliwej sposobności, ażeby posiąść wiedzę, a wraz z nią i wszystkie z niej wypływające korzyści. Wszakże nie małą przeszkodą w tych dążnościach jest brak materyalny, który nie jednemu z uczących się dotkliwie czuć się daje.

Życie kosztuje wiele, a zarobek coraz trudniejszy. Korepetytorów coraz więcej, a zapłata za tę pracę nie wielka. A niechże się jeszcze znajdą tak poczciwi ludzie, co o zapłacie zbyt często i zbyt długo zapominają...

Nie brak nam i takich.

Wejdźmy teraz do sali balowej w resursie kupieckiej. Sala wielka, obsiadł ją dokoła podwójny wieniec strojnych pań. Że piękne, proszę nie wątpić, co do strojności to inna sprawa.

Toalety piękne, gustowne, ale nie zbytkowne. Jest w nich wdzięk, ale nie ma nadzwyczajnych wymysłów. Sławny Wort zgorszyłby się wielce— my cieszymy się. Bo też to nie pora na zbytki. Prostota i wdzięk zdobią równie dobrze, a oszczędzają wiele.

Po środku sali roją się czarne fraki. Wszystko jeszcze pomieszane, bezładne. Dopiero pierwsze tony muzyki zaczynają dzielić te tłumy. Bal się rozpoczyna konwencyonalnym kontredansem... stary nasz dawny poważny polonez poszedł jakoś w zapomnienie. Jedni tańczą, drudzy się przypatrują, ale atmosfera jeszcze spokojna. Następuje szalony wir walca. Ożywienie wzrasta, aby dojść do punktu kulminacyjnego przy odgłosie naszego rześkiego a skocznego mazura. Na lica wszystkich występują rumieńce, oczy się iskrzą, duch podnosi, ochota taneczna wzmaga.

Nieprawdaż, że to wesołe? A jeszcze dodajmy do tego, że w kasie grosza pełno i to grosza na cel tak szlachetny!

Płyną powoli pieniądze na ten cel zewsząd. Oto np. wpłynęło obecnie do kasy uniwersytetu *dwa tysiące czterysta* rubli z zapisu ś. p. Augusta Popławskiego, przeznaczone na stypendya dla uczni celujących. Z zapisu tego będzie na tenże cel rok rocznie wpływało *ośmset* rubli.

Daj Boże takich dawców jak najwięcej.

Jeśli nauce tak ważne przyznaliśmy znaczenie, to nie mniejsze ma oświata. Jest ona zespoleniem nauki z cnotą w zastosowaniu dla dziatwy i ludu. Sama nauka niby tu nie zdziałała. W tych warstwach najbardziej trzeba pamiętać o tem, że kierownikiem nauki winna być moralność. *Nauka bez cnoty, jako miecz u szalonego*, powiedział Kochanowski, słowe te powinniśmy złotemi wyryć głoskami.

W tym kierunku ogromną usługę oddają ochrony i szkółki dla dzieci i rzemieślników. Najwymowniejsze będą tu cyfry. Oto w samej tylko Warszawie ilość dzieci w ochronach wynosi *cztery tysiące pięćset!* A ileż to jeszcze jest dziatwy dla ktorej pomieszczenia nie ma miejsca, nie ma funduszów. Pocieszającem jest, że potrzeba i pożyteczność ochron staje się zrozumiałą dla ogółu. To też coraz chętniej nad ich zakładaniem pracują.

Najświeższy przykład mamy na Nowej Pradze, zamieszkałej przeważnie przez urzędników kolei i rzemieślników licznych fabryk. Dano tam na rzecz ochrony pierwszy bal, który pięknie się zapisał w życiu tej osady, bo w rezultacie przyniósł *czterysta* rubli.

Kiedy o dziatwie myślą starsi, o starszych a ubogich rzemieślnikach myślą bogaci. Jan Bloch ofiarował na rzecz kas pożyczkowych *pięć tysięcy*, jego żona *dwa tysiące pięćset* rubli.

Ogromny rozwój tych kas, jest wymownym dowodem, jak w porę rzucona myśl dobra, rychło może wydać owoce. Jakże dumni możemy być z tego, że tę myśl rzucił szczęśliwy fejletonista.

Gdyby to tak zawsze przyjmowało się dobrze słowo drukowane!

Z miasta przejdźmy na wieś, przypatrzeć się pracy naszych rolników.

Niemożemy inaczej powiedzieć, jak tylko, że rozumieją doskonale, jakim kapitałem jest ziemia, jakim obowiązkiem jej utrzymanie. Wszakże to ostatnie w ciągłej walce o byt, nieraz jest trudnem dla każdego obywatela z osobna. Zresztą walczyć trzeba o każdą własność, a powszechnie przyjętym środkiem obrony jest zespolenie sił. Wszak wiek nasz, to wiek spółek.

Wspominaliśmy niedawno o spółkach rolniczych a dziś notujemy z przyjemnością, że nowa taka spółka zawiązała się w Pułtusku. Odrazu stanęło do niej *czterdziestu trzech* ziemian z kapitałem *około czterdziestu tysięcy* rubli. Jedną z największych korzyści, jakie spółki rolnicze przynoszą, jest wyrugowanie pośredników w handlu zbożowym i drzewnym. A wiadomo przecież, że pośrednicy nie robili dotąd nic darmo. Zwyczajnie, jak powiada przysłowie: „przez posły wilk nie utyje."

W zakroczymskim zawiązała się spółka dla hodowli koni.

Spółka też zamożnych ziemian doprowadzi wreszcie do skutku osuszenie błot ożarowskim, zajmujących kilka mil.

Dziś bardziej niźli kiedy trzeba sobie powtarzać zasadę: trzymajmy się, bo pokup na wszystko, a osobliwie na ziemię jest wielki. W Galicyi np. żydzi gwałtownie dążą do nabywania dóbr ziemskich. Jedno z pism donosi, że Janowi Matejce ofiarowano *30,000* zlr. zysku przy odprzedaży Krzesławic. Takie same propozycye robiono i innym. Szczęściem, że skończyło się na propozycyi.

Czegoż bo dziś nie sprzedają.

Książę edynburski chce sprzedać księstwo *Sachsen-Coburg-Gotha*. Bismarck miał wielką ochotę je nabyć, ale o cenę się nie zgodzono.

Wkrótce może dowiemy się o księstwach wystawionych na licytacye?! I niech kto powie, że nie ma nic nowego pod słońcem.

Lecz wracajmy do spraw własnych.

Jakże pięknie będzie wyglądał Kraków, gdy mu przybędzie jeszcze jedna droga pamiątka, pomnik Mickiewicza. Kiedy to nastąpi niepodobna oznaczyć. Sprawa się wlecze w rozmaitych komisyach konkursowych, a zresztą brak jeszcze pieniędzy. Dotąd zebrano *ośmdziesiąt tysięcy* zlr., a dalsze składki idą leniwo. Sądzimy wszakże, że gdy komisya stanowczo przyjmie pewien projekt, kiedy dokładniej będzie można obliczyć jego koszta, wówczas popłyną na nowo składki, aby uzupełnić brak.

Stołeczne miasto Galicyi, Lwów drzemie, albo kłótniami w radzie miejskiej daje znak życia. Mają oni dziś kłopot nie lada z nowemi wyborami. Pomimo tego wszakże spotkaliśmy się i tam z pięknym objawem. Oto wniesiono na ręce burmistrza petycyą, domagającą się ogólnego święcenia niedziel i świąt. Podpisów dotąd jest *4,000*. Lecz żądanie to jest ogólnem, a tem żywotniejszem, że Lwów nie grzeszy zbytkiem świątobliwości. Różnorodność wyznań może się do tego wielce przyczynia, a przeto nie zawadziłoby większe zwracanie uwagi na świętość dni niedzielnych.

Pozwólcie, że przytoczę kilka wierszy sensu religijnego, dlatego głównie, że wiążą się z słowami poprzedniemi i, że są utworem Wincentego Pola. Podał je „Kuryer Warszawski" z autografu, my je za nim powtarzamy.

„Wielkie jest, wielkie miłosierdzie Boże,
Bo nas pchnął w łódce na niepewne morze,
Abyśmy dziennie i wiecznie znali,
Jako w prostocie ojcowie mawiali:
Że nam bez Boga,
Ani do proga."

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Opowiadania historyczne D-ra Antoniego J. Serya trzecia, tom I i II.

Nieraz w życiu codziennem, przechodząc około tej lub owej wystawy jubilera, wśród mnogiej ilości różnorodnych klejnotów, spostrzegamy drobny i niepozorny przedmiot, który jednak wyszedłszy z pod ręki Benevenuta Celiniego lub innego jakiego mistrza, mimo że nie błyszczy brylantami bajecznej ceny, jednak tak pod względem wykonania jak i swego pełnego estetycznego kształtu, o wiele wyższą ma wartość od wszystkich innych. Drobne prace D-ra Antoniego J. zajmują podobneż stanowisko w historycznej literaturze naszej. Są to klejnoty nieocenionej wartości. Nie ma w nich co prawda owej niemieckiej pedanteryi, nie są one przeładowane cytatami, słowem nie odpowiadają może wymaganiom uczonych należących do „autoramentu ciężkiej artyleryi," mimo tego jednak są to prace pełne nauki, pełne głębokiej znajomości rzeczy traktowanej a przytem lekkie, barwne i głęboko wciskające się w umysł czytającego. Karol Szajnocha jako pierwszy, który w tym rodzaju pisać zaczął, dał przykład licznym naśladowcom swoim jak pisać się winny dzieje, aby i nie przez uczonych mogły być czytane i z korzyścią rozumiane: on to wprowadził ponętną formę: Opowiadań historycznych. Również podobną formę użył i Bartoszewicz, taką też formę używa i Dr. Antoni J. a używa jej z wielkiem mistrzostwem.

Serya trzecia Opowiadań historycznych D-ra Antoniego J., którą w chwili tej mamy przed sobą, niezaprzeczenie jest zbiorem cennych klejnocików.

Tom pierwszy tej seryi obejmuje sześć opowiadań: 1) Karol Prozor, ostatni oboźny litewski. 2) Antoni Nowina Złotnicki. 3) Benedykt z Drozden Nowina Hulewicz. 4) Dyzma Bończa Tomaszewski. 5) Straszny Józef (Stępkowski) i 6) Czartoryscy i Repnin. Tom II obejmuje: 1) Tron książęcy za kobiety. 2) Jak się żyło na kresach ukraińnych przed inkursyą kozacką. 3) Jeden z wielu (Żuk Skarszewski). 4) Gospodarstwo naszych prababek. 5) Niemierycze.

Opowiadać treść każdego z tych klejnocików jest rzeczą niepodobną, bo streszczenie byłoby za suche i ścierające barwę właściwą nadaną przez autora cennym tym opowiadaniom. Poprzestać więc musimy na ogólnej wzmiance, że Dr. Antoni J. z niewysłowioną zręcznością umiejąc wyszukiwać temata do swoich opowiadań, obrabia je z zamiłowaniem i sumiennością niepospolitą. W opowiadaniach tych nie ma ani jednego słowa, jednego rysu za wiele lub też za mało. Postacie przedstawione przez autora występują z ogólnych ram plastycznie z całą siłą i potęgą a szczegóły, że tak powiem akcesorya około tych postaci nagromadzone, przyczyniają się nietylko do uwydatnienia samych postaci przedstawionych bohaterów, lecz nadto do zaokrąglenia całości.

Jakże znakomicie, jak wiernie a zarazem i serdecznie nakreśloną jest postać np. *Prozora*, lub też *Adama Czartoryskiego*. Jakże świetnym obrazkiem z przeszłości jest: *Gospodarstwo naszych prababek!*

Wobec tych i tempodobnych prac D-ra Antoniego J. niemożemy jak tylko życzyć mu, aby jak najczęściej obdarzał nas podobnemi opowiadaniami a po długim żywocie poświęconym pracy, śmiało będzie mógł powiedzieć: „praca moja nie poszła na marne, lecz wydała owoc pożądany."

Spis nazwisk szlachty polskiej, Jerzego Sewery. Hr. Dunin-Borkowskiego. Lwów, 1882 r.

Od czasu ostatniego wydania ogólnego spisu szlachty polskiej mija prawie lat sto, a że dawne dzieła tego rodzaju dziś stały się rzadkością i dla każdego nie są przystępne, więc autor przystąpił do wydania takiego spisu, w którym obok nazwisk i herbu danej rodziny dodał siedzibę i najdawniejszą datę dotyczącą jej dziejów. Daty owe czerpane z autentycznych dokumentów nie zawsze oznaczają epokę uszlachcenia, bo większa część rodów polskich należy do rycerstwa, pochodzenie którego ginie w pomroce dalekiej przeszłości.

Pomieniony spis szlachty polskiej staranie ułożony zaleca się jako użyteczny podręcznik do heraldyki naszej — a jako opracowany przez sumiennego heraldyka daje gwarancyą, że fałszywych dat i nazwisk tak chętnie podszywających się pod szlachectwo wcale tam nie ma.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Dziwne rzeczy dzieją się na świecie — jak o tem przekonywają listy pisane do p. Kosińskiego, autora „Przewodnika heraldycznego". Oto kilka rodzin polskiego pochodzenia już od półtora wieku zamieszkałych w Niemczech, zgłasza się do niego celem wylegitymowania się ze szlachectwa polskiego. Jeden z tych korespondentów, pan Pliszkowski, oznajmia że nader pilnie i gorliwie uczy się po polsku, pragnąc najusilniej stać się tak dobrym Polakiem jak byli jego przodkowie i zamiast jak dawniej von Plischkowsky, podpisuje się Pliszkowski. Oto nazwiska kilku jeszcze rodzin pragnących udowodnić polskie swoje pochodzenie: von Bottmar, von Wüthe, von Jode, baron Dönhoff, baron Hulsen, von Schleiwitz, von Borowsky. Wnosząc przecież z nazwisk, zdaje się, że większość wymienionych rodzin musi być potomkami przybyłych do nas w dawnych wiekach Niemców i osiedlających się po miastach; tylko dwa nazwiska: Pliszkowski i Borowski są niewątpliwie polskie.

*** W pierwszej połowie z. m. zmarła w Rzymie w szpitalu San Giacomo, uboga pielgrzymka z Warszawy, Małgorzata Andreas. Ożywiona religijnym zapałem, jeszcze w r. 1861 udała się pielgrzymką do Rzymu, i do śmierci już przebywała w wiecznem mieście żyjąc z jałmużny i przepędzając całe dnie na modlitwie i zwiedzaniu kościołów. Żaden Rzymianin nie znał tak dobrze

jak ona, 365 kościołów wiecznego miasta. Uboga ta pielgrzymka znała doskonale i bardzo była lubiona tak przez Piusa IX jakoteż przez Wiktora Emanuela. Wiadomo że zmarły papież bardzo lubił Polaków i Polki; zwróciwszy uwagę na Małgorzatę która wszędzie mu się nastręczała, dowiedział się że to pielgrzymka polska i szczerze się nią zainteresował. Ojciec Święty wydał rozporządzenie wielkiemu podkomorzemu i dowódzcy straży szwajcarskiej, aby nie żądając okazania biletu wejścia, wpuszczali ją wszędzie i zawsze. Małgorzata tedy uczęszczała na uroczyste obrządki odprawiane w Watykanie, tam gdzie nieraz ambasadarowie wielkich mocarstw nie mogli wprowadzić wielkich pań ze swoich krajów, z powodu nadzwyczajnego napływu cudzoziemców, uboga polska pielgrzymka w czarnem niby zakonnem ubraniu, miała zawsze zapewnione miejsce. Na tak ważnych *capelle popoli*, to jest nabożeństwach odprawianych w różnych kościołach rzymskich, w których papież nie celebrował ale asystował tylko, zawsze najpierwsza przystępowała w zakrystyi do ucałowania stóp Ojca Świętego.

Wiktora Emmanuela poznała idąc do Rzymu, w lesie na polowaniu. Nie domyślała się nawet że to król, gdy Wiktor Emmanuel ujrzawszy dość dziwacznie ubraną brzydką kobietę, która siedząc pod drzewem przesuwała paciorki odmawiając różaniec, zbliżył się do niej ofiarując podzielić się przygotowanem dla niego na murawie śniadaniem. Rozmawiała jak mogła umiejąc zaledwie po kilkanaście słów francuzkich i niemieckich; później doskonale nauczyła się po włosku. Dopiero gdy król odszedł po skończenem śniadaniu, tak wybornem jakiego nigdy nie spożywała dotąd, dowiedziała się od służby że tym strzelcem tak dobrym i hojnym, który odchodząc dał jej kilkanaście sztuk złota na dalszą wędrówkę, był król włoski.

Po roku 1870, gdy jej bieda dokuczyła, kazała sobie napisać list do króla i przypominając spotkanie w lesie, prosiła o wsparcie. Na drugi zaraz dzień, na jej poddaszu zjawił się dworzanin królewski, i przyniósł hojną jałmużnę, a nie dość na tem, król przeznaczył jej roczną zapomogę, którą wypłacano Małgorzacie aż do śmierci Wiktora Emmanuela. Gdy w 1878 r. umarł w styczniu król a w lutym papież, pozbawiona została stałych dochodów; co zebrała popożyczała ludziom którzy nic nie oddali, ale oddana jedynie nabożeństwu, nie troszczyła się tą stratą, żyła z jałmużny, od rana do nocy modląc się w kościołach. Nędza, ciągłe posty i umartwienia wyczerpały jej siły; musiała szukać przytułku w San Giacomo, gdzie też zakończyła życie. Była to kobieta bardzo świętobliwa, postać niezwykła, oryginalna, niemal historyczna, znana w całym Rzymie.

*** Dotąd utrzymywano powszechnie, iż mózg kobiet pod wielu względami niższym jest od mózgu mężczyzn i z tego powodu tak lekceważono lub nawet wyszydzano wszelkie dążenia kobiet w przedmiotach lub zawodach wymagających wyższej siły umysłowej. Obecnie znany anatom, profesor Brühl, w Wiedniu, po długich badaniach ogłosił studyum p. t. *Frauensin, Frauenseele, Frauenrecht* (Umysł, dusza i prawa kobiet) w którem dowodzi, że kobieta budową mózgu w niczem nie ustępuje mężczyźnie i zdolną jest do jednakiej pracy umysłowej. Dowodzenia swoje popiera pr. Brühl długoletniemi wynikami studyów robionych w sali anatomicznej uniwersytetu wiedeńskiego. Artykuł ten zamieszczony jest w miesięczniku „Auf der Höhe" za miesiąc styczeń r. b.

*** We francuzkiem czasopiśmie „Nature" p. Carpentier zamieścił opis zbudowanego przez siebie instrumentu samogrającego, czyli stenografu muzycznego, który nazwał „Melograf". Jest to rodzaj organków czyli harmonium, które powtarza samodzielnie każdy choćby improwizowany utwór, odegrany na jakimkolwiek klawiszowym instrumencie i potrzeba go tylko stosownie nastawić.

*** Jedno z pism włoskich podaje następujące „dziesięcioro przykazań dla kobiet:"

1) Kochaj męża nad wszystko w świecie. 2) Nie przysięgaj mu fałszywie miłości. 3) Staraj się, aby dni upływały mu jak najweselej. 4) Kochaj go więcej niż matkę i ojca. 5) Nie trap go złym humorem i wyrzutami. 6) Nie zwódź go. 7) Nie marnuj jego pieniędzy na niepotrzebne wydatki. 8) Nie miewaj spazmów i ataków nerwowych. 9) Nie uganiaj się za zbytkiem i zbyt często nie odwiedzaj sklepów. 10) Nie pożądaj nic więcej nad własnego męża. Przykazania te każda kobieta powinna odczytywać co najmniej dwanaście razy na dzień.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani B. w Nawodzicach. Album widoków krajowych Napoleona Ordy, wyszło już zeszytów 9 a następny wkrótce ukończony zostanie. W miarę wychodzenia i prenumerata częściowo składaną być może, cała w przyszłości wyniesie rs. 80.

Pani Jadwidze S. Botanika i Zoologia tłomaczona przez Rzepickiego, kosztuje po rs. 2. Mitologia rs. 2, w oprawie rs. 2 kop. 40. Wieczory w Ojcowie rs. 1, lub Historya polska ułożona przez Leję. Historya powszechna starożytna Korzona rs. 1, literatury powszechnej Scherra rs. 6.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Января 1883 г.
Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM PIERWSZY.

(Dalszy ciąg.)

Panna de Longvilliers opierała się długo ich usilnym prośbom, w końcu jednak usiadła do fotepianu, uderzyła kilka akordów i przebiegła wprawną ręką klawisze, dla zwrócenia uwagi i nakazania milczenia. Następnie odegrała etiudę Chopina z talentem jaki dziś często posiadają młode osoby, a który dawniej spotykano tylko u artystów. Stojąca za nią Eliana, ubrana równie skromnie jak zwykle, ale trochę bledsza i poważniejsza, słuchała z natężoną uwagą, a gdy skończyła, wyraziła jej tak szczerze swe zachwycenie, że piękna Konstancya czuła się więcej zadowoloną z jej pochwały niż z oklasków reszty towarzystwa. Poprzednich dni nie dała się wzruszyć najusilniejszemi prośbami, gdyż miała zwyczaj kazać długo czekać zanim coś zagrała, dla tego też i teraz pomimo hucznych oklasków, chciała już wstać od fortepianu, gdy ją zatrzymała Eliana.

— O! niech pani gra jeszcze, proszę bardzo, zdaję mi się że pierwszy raz dopiero słyszałam muzykę.

Konstancya zatrzymała się równie zdziwiona jak zadowolniona. Nigdy jej się to nie zdarzyło aby się unosiła nad talentem której ze swych towarzyszek, a widoczna szczerość słów Eliany pochlebiała bardzo jej miłości własnej.

Uśmiechnęła się, i zaczęła grać jedną z tych *pieśni bez słów* których tajemnicza mowa jest stokroć wymowniejszą od słów. Ten rodzaj muzyki porusza jednocześnie wszytkie struny duszy, i dla tego też zapewnie wzrusza tak głęboko. Eliana słuchała ze łzami w oczach; a jakkolwiek, gdy ucichły ostatnie tony nie mogła powiedzieć nic więce jak: „dziękuję” ale wyraz z jakim wymówiła to słowo, nadawał mu znacznie największej pochwały jaką panna Longvilliers mogła kiedykolwiek usłyszeć. To też w jej obejściu i humorze zaszła nagła zmiana; dotąd na spokojną uprzejmość Eliany odpowiadała dumną obojętnością; przyzwyczajona zaćmiewać wszystkie swe towarzyszki, czuła teraz że znalazła niebezpieczną współzawodniczkę, że nie jest już przedmiotem wyłączonej uwagi. Parę razy pan de Trévals rozmawiał z nią z widocznem roztargnieniem, a pomimo wyszukanej grzeczności Raynolda, nie było w jego obejściu ani cienia tej chęci przypodobania się, którą spodziewała się w nim znaleźć. Jakkolwiek babka nie wpomniała jej nic o swem milczącem przyzwoleniu na zamiary których pani de Liminges dozwoliła jej się domyślać, Konstancya zrozumiała że idzie o to niby przypadkowe spotkanie, poprzedzające krok stanowczy, i które w danem razie dozwala powiedzieć, że młoda para dawno się już znała i kochała. Tymczasem postępowanie Raynolda nie potwierdzało w niczem jej domysłów, i to właśnie wpływało niekorzystnie na jej humor. W tej chwili jednak, Eliana tak zadowolniła jej miłość własną, że w mgnieniu oka z dumnej i zimnej stała się dla niej miłą i uprzedzającą.

— Widzę że pani bardzo lubi muzykę, rzekła.

— O! tak, bardzo.

— Czy pani gra także?

— Śpiewam trochę i gram średnio, o tyle że mogę sobie akompaniować.

— Jeźli tak, to zaśpiewajmy jakiś duet. Jakie pani śpiewa?

— Śpiewam tylko dawne rzeczy, jak pieśni i ballady szkockie lub angielskie.

— Muzyka angielska!... Ależ to coś okropnego!.. Czy być może aby pani nie śpiewała jakiegoś utworu mistrzów włoskich lub niemieckich?

Konstancya mówiąc to przerzucała nuty, a Eliana stojąc obok, czytała w myśli ich tytuły.

— Śpiewam ten duet, rzekła nakoniec, wskazując jeden zeszyt, słowa są francuzkie ale muzyka niemiecka.

— Duet Mendelssona?... Czegóż potrzeba więcej!.. Jestto właśnie jeden z moich ulubionych... Jaki głos pani posiada?

— Jaki głos?

— Tak, sopran, kontralt, czy mezzo-sopran?

— Doprawdy, nie umiem tego powiedzieć...

— Mniejsza o to, ja mam sopran i śpiewam zawsze pierwszą partyę, niech więc pani śpiewa drugą.

Panna de Longvilliers usiadła znów do fortepianu. Miała głos bardzo zwyczajny, ale umiała śpiewać, a będąc przekonaną że w śpiewie wyrobienie znaczy więcej niż piękny głos, nie obawiała się bynajmniej porównania z Elianą, której brakować go musiało. Eliana wstała i nie wymagając aby ją proszono długo, zbliżyła się do fortepianu.

Miała na sobie białą jedwabną suknię, a jedyną ozdobę stanowił złoty medaljon który nosiła zawsze, pomimo to nie traciła bynamniej przy swej towarzyszce, której piękność podnosił strój bogaty i umiejętnie dobrany; przeciwnie, tworzyły razem śliczny obraz, godny aby na niego zwrócono uwagę. Nastąpiło ogólne milczenie; wszyscy zbliżyli się do fortepianu. Pan de Trévals stanął o ile mógł najbliżej Eliany, Raynold zaś pozostał dość daleko w framudze okna, i na pół zasłonięty firankami, ale naprzeciwko śpiewających. Malseigne zbliżył się do niego cicho i nieznacznie.

Panna de Longvilliers uderzyła w klawisze i zaczęła śpiewać, wkrótce głos Eliany połączył się z jej głosem, a pierwsze zaraz jego czyste dźwięczne tony, obudziły zadziwienie Konstancyi, a gdy następnie Eliana zaśpiewała sama kilka taktów, zawołała cicho: „Brawo! brawo!” Po skończeniu duetu, uczucie artystyczne panny de Longvilliers przewyciężyło wszystkie inne; podniosła się i uściskała Elianę z pełnem wdzięku uniesieniem, dodającem jej jeszcze powabu. Od tej chwili wzajemny ich stosunek zmienił się zupełnie; Eliana czuła że chłodne podziwienie jakie dotąd budziła w niej piękna i świetna Konstancya zamieniło się nagle w jakieś przyjazne uczucie, co zaś do panny de Longvilliers, jej dumne przed tem obejście, przeistoczyło się w jednej chwili w serdeczne i poufałe.

— Masz głos prześliczny, zawołała, i byłoby zbrodnią gdybyś go nie starała się wyrobić. Muszę koniecznie słyszeć cię śpiewającą jaką aryę włoską.

— Nie znam włoskiego języka.

— Mniejsza o to, nauczę cię. Masz słuch tak dobry że pochwycisz łatwo jak trzeba wymawiać, a co do mnie mogę się pochwalić że mam doskonałą wymowę, ale tylko śpiewając, bo jeźli mam wyznać prawdę, trudnoby mi było rozmówić się po włosku bez akompaniamentu. Wszak zgadzasz się na to abym była twą nauczycielką?.. Jutro będzie nasza pierwsza lekcya.

— O! z największą chęcią, odpowiedziała Eliana, zachwycona jej uprzejmością; ale zanim to nastąpi spuść rączki na klawisze i zagraj coś jeszcze.

Konstancya uczyniła zadość jej życzeniu. Zadowolniona tem że sprawiła tak silne wrażenie, była w najlepszym humorze, i wbrew swemu zwyczajowi grała jedną sztukę po drugiej, stosownie do życzenia otaczających ją osób, rzucając niekiedy szybkie spojrzenie to w tę to w ową stronę, aby się przekonać kto słuchał najuważniej. Raynold stał w cieniu i nie mogła dojrzeć dobrze twarzy, ale postawa jego zwróciła jej uwagę; zdawał się zostawać pod wpływem jakiegoś silnego powstrzymywanego wzruszenia, a wzrok jego był ku niej zwrócony, co sprawiło jej przyjemność. Jednak doznałaby niemiłego zawodu gdyby mogła przypatrzeć się lepiej, gdyż w takim razie byłaby spostrzegła że oczy jego nie zatrzymują się na niej, ale trochę dalej, i śledzą z natężoną uwagą wszystkie poruszenia Horacego de Trévals, który skoro tylko Eliana wróciła na swoje miejsce o parę kroków za Konstancyą, zbliżył się natychmiast do niej, a teraz wsparty na poręczy jej krzesła zaczął coś mówić cicho. Co on mówił?..

Z początku zdawało się że Eliana, zajęta jedynie muzyką, nie słyszała go wcale, lecz po niejakim czasie odwróciła z żywością głowę, silny rumieniec oblał jej piękną twarzyczkę, i wymówiła kilka słów które Raynold tak pragnąłby usłyszeć... Chciał już przysunąć się bliżej zapominając że twarz jego może zdradzić tajemnicę jego serca, gdy czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu, a głos jakiś szepnął mu do ucha: *Bądź ostrożnym.*

Zadrżał i odwrócił się zdziwiony.

— To ty, Armandzie! Przestraszyłeś mnie!.. Cieszy mnie to bardzo że przyjechałeś, potrzebuję koniecznie pomówić z tobą.

— Domyślam się tego, i nawet pregnę aby to nastąpiło jak najprędzej.

— A więc dziś jeszcze wieczorem.

— Wieczorem, niepodobna...

— Dlaczego.

— Matka twoja prosiła mnie abym na nią zaczekał w tym salonie, gdy się już goście rozejdą; ona także chce mi coś powiedzieć.

— W takim razie, Armandzie muszę pomówić z tobą natychmiast. Czas śliczny, wyjdźmy do ogrodu, będziemy mogli rozmawiać swobodnie.

Może byłoby mu trudno oddalić się z salonu, gdyby kuzynka i pan de Trévals pozostali obok siebie, ale Eliana przeszła na drugą stronę fortepianu, i usiadła tuż przy Konstancyi, a pan de Trévals wyszedł z salonu.

Przyjaciele weszli wkrótce w szeroką ulicę, ciągnącą się wzdłuż pałacu i trawnika... księżyc już wschodził, noc była pogodna i cicha.

Raynold przerwał natychmiast milczenie, potrzebował zwierzyć się komuś ze swych cierpień, i wyrażał się namiętnie, z goryczą, Armand zaś słuchał go z pewnym niepokojem, ale bez zadziwienia.

— Matka twoja odmawia swego zezwolenia, rzekł nakoniec smutno; wiedziałem że tak będzie, i uprzedziłem cię o tem Raynoldzie, jak sobie zapewnie przypominasz. Biedna Eliana! dodał ciszej.

— O! tylko nademną ubolewać trzeba, Armandzie, zawołał Raynold z uniesieniem, gdyż cierpię strasznie!

Malseigne spojrzał na niego z zadziwiem.

— Co do niej, mówił Raynold, nic dotąd nie zamąciło spokoju jej serca; przekonasz się łatwo o tem skoro zwrócisz na nią baczną uwagę. Nie kocha jeszcze nikogo... tak mi się przynajmniej zdaje... ale od wczoraj znoszę niewypowiedziane męczarnie... Nie podpada wątpliwości że Trévals przybył tu po to jedynie aby się zbliżyć do niej, jakkolwiek może się to wydawać dziwnem że człowiek tak jak on zimny i wyrachowany, odstąpił od swego zwyczaju, i nie stara się podwoić swych milionów przez bogate ożenienie. Matka moja spostrzegła to od pierwszej chwili i ośmiela go... odpowiada w ten sposób na moje wyznanie!.. a chcąc mnie rozerwać zapewnie, zmusza do zajmowania się od rana do wieczora gośćmi których tu zaprosiła nie uprzedziwszy mnie nawet o tem. Ale cierpliwość moja już się wyczerpuje... muszą się skończyć te katusze... cierpienia moje są zbyt ciężkie... Kocham Elianę, Armandzie, i jeżeli ją stracę, będę zgubionym na zawsze!..

Armand słuchał go nie przerywając mu, a gdy skończył, zapytał:

— A panna de Longvilliers?

— Panna de Longvilliers?... powtórzył Raynold z zadziwieniem. Cóż ona może mieć wspólnego z tem co ci powiedziałem? Co ona może mnie obchodzić? Jestto osoba piękna, fantastyczna i.. i nic więcej. Nie mówmy o niej, Armandzie. Jest mi zupełnie obojętna.

Teraz znów Malseigne zostawał pod wpływem najżywszego zadziwienia. Nie pojmował czemu margrabina nie wspomniała nic synowi o swych zamiarach, ani też jak on mógł ich nie odgadnąć.

Namyślał się jeszcze co ma powiedzieć gdy usłyszeli nagle głośne śmiechy; wszystkie drzwi salonu wychodzące na taras otworzyły się jednocześnie, całe towarzystwo wybiegło do ogrodu rozmawiając głośno, i przerwało tym sposobem ich rozmowę. W salonie pozostało tylko kilka osób, a między niemi księżna Longvilliers, która napróżno usiłowała zatrzymać wnuczkę.

— Konstancyo!.. to prawdziwe szaleństwo!.. w salonie tak gorąco a ty wybiegasz z niego nagle na świeże powietrze!.. Konstancyo! nie pozwalam na to! Wracaj!.. włóż przynamniej to okrycie...

Konstancya była już zbyt daleko aby ją mogła usłyszyć, ale Eliana była jeszcze trochę bliżej, wróciła się więc i wzięła z rąk księżny białą kaszmirową zarzutkę, aby ją zanieść jej wnuczce. Chciała już odejść, gdy margrabina ją zatrzymała i zdejmując z siebie czarną koronkową chustkę zarzuciła ją na jej ramiona. Ta chwilka zwłoki była dostateczną aby Eliana straciła z oczu resztę towarzystwa. Konstancya oświadczyła że chce koniecznie dojść aż do rzeki, i zawezwano Raynolda aby doprowadził tam towarzystwo najbliższą drogą. W tym celu trzeba było skręcić w boczną ulicę ocienioną wielkiemi drzewami, i dlatego też pomimo blasku księżyca Eliana nie dostrzegła już nikogo. Po niejakim jednak czasie, zdawało jej się że wraca jeden z panów towarzyszących Konstancyi; pomyślała że ta spostrzegłszy jej nieobecność przysyła kogoś po nią i postąpiła już kilka kroków, lecz poznawszy zbliżającego się, zawróciła nagle ku pałacowi, gdy ktoś wymówił głośno jej imie.

— Eliana!., I sama jedna! Byłem pewny że należysz do tego wesołego grona które znikło tam między drzewami, rzekł Armand wysuwając się z cieniu.

— Pan de Malseigne!.. A! dzięki Bogu! zawołała z wyrazem radości, który go zadziwił. Proszę pana, podaj mi rękę i odprowadź mnie do nich. Są nad brzegiem rzeki.

Nie czekając jego odpowiedzi wsparła się na jego ramieniu i pociągnęła za sobą.

W kilka minut później spotkali Horacego de Trévals; twarz jego w pierwszej chwili wyrażała zdziwienie połączone z niezadowolnieniem, które jednak znikło skoro poznał pana de Malseigne. Podał mu rękę i rzekł zwracając się do Eliany:

— Wróciłem sądząc że pani idzie sama, gdyż potrzeba zboczyć w ulicę bardzo ciemną, a droga prowadząca do rzeki jest spadzista i przykra.

— Dziękuję panu, rzekła przyśpieszając kroku.

— Nie wiedziałem że tu jesteś, panie de Malseigne, odezwał się znów Horacy. Kiedy przyjechałeś?

— Nie dawno, może z godzinę temu.

Pan de Trévals szedł obok Eliany, ale nie mówił już do niej. Przeszli zacienioną ulicę, a następnie udali się drożką prowadzącą ku rzece, która była rzeczywiście nie tylko przykrą, ale prawie niebezpieczną w miejscach gdzie nie dochodziło światło księżyca. Eliana, nie znająca jej, byłaby może nie raz upadła gdyby jej Armand nie prowadził. Doszła nakoniec do wielkiego jaworu rosnącego nad rzeką, pod którym znajdowały się ławki. Widok z tego miejsca był bardzo piękny, i mieszkańcy pałacu przychodzili tam często. Obecnie zatrzymała się tu Konstancya wraz z całem towarzystwem.

Eliana zbliżyła się do niej, i zarzuciła jej na ramiona posłane przez babkę okrycie. Konstancya podziękowała jej tylko skinieniem głowy, nie przerywając ożywionej rozmowy z Raynoldem.

— Trzy konie wierzchowe dla dam!.. Ale to więcej niż potrzeba... W takim razie, panie de Liminges, możnaby ułożyć na jutro przechadzkę, tak rano aby jeszcze słońce nie dopiekało; ja będę z tego bardzo zadowolnioną, a babunia pozwoli, bo jestem pewna że pani de l'Héris zechce nam towarzyszyć.

Pani de l'Héris oświadczyła z niekłamaną radością, że zastosuje się najchętniej do jej życzenia.

— Prócz tego, mówiła dalej Konstancya, może panna Flora lub panna Herminja des Fougères zechce przyłączyć się do nas.

— Córki moje nie jeżdżą konno, odpowiedziała zimno pani de Fougères, która gdy córki jej wybiegły z Konstancyą, poszła za nimi aż nad brzeg rzeki.

Było jej zimno, ten spacer po nocy wydawał jej się przykrym i niewłaściwym, a prócz tego miała jeszcze inne powody niezadowolenia. Córki jej były znane z piękności w całej okolicy, a dziś zdawało się że nikt tego nie widzi.

— Jeżeli pani chcę znaleźć towarzyszkę posiadającą tę sztukę w wysokim stopniu, mówiła dalej cierpkim tonem, to słyszałam że panna de Liminges przewyższa najsławniejsze amazonki.

Nie chciała z pewnością przedstawić tym sposobem korzystniej Eliany, ale jej słowa sprawiły inne wrażenie niż się tego spodziewała.

— Czy tak? zawołała Konstancya zwracając się do Eliany, widzę że posiadasz wszelkie przymioty!.. Potem, nie czekając na odpowiedź mówiła dalej: Wszystko składa się wybornie; będzie dwie panny i jedna mężatka. Zresztą dziadek mój lubi jeszcze jeździć konno, i byle spacer nie był zbyt długi, wcale go to nie męczy. On sam uczył mnie jeździć konno.. Poproszę go i pojedzie z nami, a w takim razie i babunia nie będzie się sprzeciwiać. Wróćmy tylko prędko, aby się nie gniewała że bawimy tak długo, a jutro, panie de Liminges, pojedziemy tam, wszak prawda? Mówiąc to wskazała pałacyk Erlon-des-Gué rysujący się wyraźnie na tle kwiatów i drzew, u stóp których wiła się rzeka jak srebrzysta wstęga.

Raynold oświadczył machinalnie swą gotowość zastosowania się do jej życzeń, ale myślał o czem innem. Oczy jego były zwrócone na bladą twarz Eliany, która wsparta o pień jaworu, i osłonięta czarną koronką spadającą na jej białą suknię, była podobną do jakiegoś zjawiska opiewanego przez niemieckie legendy, które pomimo swej piękności było przepowiednią nieszczęścia. Oczy jej były zwrócone na pałacyk po drugiej stronie rzeki, wzrok Raynolda pobiegł w tęż samą stronę i myśli ich spotkały się z sobą.

Przypomnieli sobie tę szczęśliwą, i jedyną wspólną przechadzkę, przypomnieli sobie że mieli zwiedzić pałacyk du Gué sami tylko we dwoje!.. Jakże się wszystko zmieniło od tego czasu!... Eliana zdawała sobie z tego sprawę z pewnym żalem i zadziwieniem, Raynold z dotkliwą boleścią. Byli jeszcze razem, a jednak już rozłączeni... Ona nie mogła pojąć dlaczego, on wiedział to aż nazbyt dobrze, i uwiadomiłby ją natychmiast, gdyby mu było wolno wyznać jej uczucia przepełniające jego serce.

Ale trzeba było zmuszać się do milczenia i bawić uprzejmie narzuconych gości. Raynold musiał więc podać rękę pannie de Longvilliers aby odprowadzić ją do domu; za niemi szła pani de l'Héris ze swą eskortą; Malseigne nie tracący ani na chwilę z oczu Eliany, zbliżał się już do niej gdy pani de Fougères zawołała wyciągając do niego rękę:

— Bądź pan łaskaw dopomódz mi wejść na górę, bo sama nie utrzymam się na tak spadzistej drodze.

Kazała córkom iść naprzód, sama zaś oparła się silnie na ramieniu pana de Malseigne, które, jakkolwiek bardzo niechętnie podać jej musiał. Ale tym sposobem Eliana rachująca z pewnością na towarzystwo Armanda, została sama... z panem de Trévals.

Postąpiła śpiesznie kilka kroków, chcąc zbliżyć się do idących przed nią osób, ale gdy już miała iść pod górę Horacy przysunął się do niej.

— Może pani zechce podać mi rękę.

— Dziękuję uprzejmie, ale pomoc pana byłaby zbyteczną; nie męczę się łatwo i umiem chodzić po najgorszych drogach.

Rzeczywiście poszła naprzód pewnym i śmiałym krokiem, ale gdy już weszli na górę, pan de Trévals zbliżył się znów i szedł obok niej.

— Panno Eliano, rzekł nakoniec, pozwól abym korzystając z tego że jesteśmi sami, prosił cię o przebaczenie.

— Zdaje mi się że nie mam panu nic do przebaczenia, bo nie sądzę aby pan chciał zrobić mi przykrość, a jeżeli się nie mylę, to proszę nie mó-

wić już tak do mnie jak dziś rano, lub przed chwilą w salonie. A teraz porzućmy już ten przedmiot i...

— Nie, muszę się wytłómaczyć, muszę powiedzieć dla czego ośmieliłem się objawić pani moje uczucia. Wiem że należało mi zataić to co urocza piękność, niewysłowiony wdzięk...

— Panie de Trévals, przerwała niecierpliwie Eliana, nie rozumiem jak pan możesz mówić jeszcze do mnie w ten sposób, po tem co panu powiedziałam.

— Niech mi pani pozwoli dokończyć. Sądziłem że pani będąc wychowaną w Anglii, nie weźmie mi za złe jeżli ośmielę się zwrócić wprost do pani, z prośbą, którą według przyjętego we Francyi zwyczaju, wypadało mi pierwej przedstawić stryjence pani.

Horacy dè Trévals nie wierzył w to aby niezadowolnienie Eliany mogło być szczerem, ale zmieniłby z pewnością zdanie gdyby mógł w tej chwili dostrzedz wyraz jej twarzy. Z początku zaczęła tylko iść prędzej jeszcze, a gdy już zbliżyła się prawie do poprzedzających ją osób, odezwała się zimno:

— Pomylił się pan bardzo pod tym względem; jakkolwiek wychowana za granicą, nie przestałam być francuzką, i nie chcę znać innych zwyczajów nad istniejące we Francyi.

Powiedziała to sądząc że tym sposobem uwolni się od natręctwa pana de Trévals. Nieszczęściem słowa jej wywołały zupełnie przeciwny skutek niż się tego spodziewała; Horacy nie mógł czy nie chciał przypuścić że mu odmawia, dlatego też to co usłyszał nie posłużyło mu za wskazówkę że powinien zaniechać swych zamiarów, ale tylko że winien potarać się o urzeczywistnienie ich inną, właściwszą drogą.

Towarzystwo trochę rozproszone, połączyło się nakoniec dochodząc do pałacu, i wszyscy razem weszli do salonu. Konstancya zajęła się natychmiast usunięciem wszelkich przeszkód do ułożonego przez nią spaceru; najprzód przeciągnęła dziadka na swoją stronę, następnie postarała się o pozwolenie babki i zezwolenie margrabiny. Pani de Liminges była zadowolniona z projektu, ułożonego, jak sądziła przez syna, i który zmuszał go do wyłącznego zajęcia się panną de Longvilliers, tem więcej, że Eliana pomimo usilnych nalegań Konstancyi, nie chciała wziąść udziału w tej przechadzce, i prosiła stryjenki aby jej pozwoliła zostać w domu.

Stanęło na tem że książę de Longvilliers będzie towarzyszyć wnuczce, reszta zaś towarzystwa miała się składać z pani de l'Héris, Raynolda, hrabiego de Trévals i Edgara des Hayes, który oświadczył swą gotowość uczestniczenia w przechadzce.

Pani i panny des Fougères pożegnały wtenczas margrabinę, nie unosząc tak miłego jak zwykle wspomnienia ze spędzonego w jej domu wieczoru, gdy przeciwnie pani de l'Héris wsiadła w najlepszym humorze do powozu, przyrzekając że nazajutrz przyjedzie z pewnością w oznaczonej godzinie.

Było już tak późno gdy odjechały, że margrabina zmęczona udała się prosto do swego pokoju, uprzedziwszy pierwej Armanda że będzie czekać na niego jutro rano, gdy wszyscy udadzą się na przechadzkę od której i on wymówił się także.

XI

Nazajutrz pogoda była równie piękna jak w dniu poprzedzającym. Od niejakiego już czasu rozpoczął się szereg tych dni słonecznych, które gdy raz nastaną, budzą nadzieję że zawsze trwać będą. Cała natura przywdziewa wtenczas świąteczne szaty; niebo się uśmiecha jakby nigdy już nie miała go zasępić najlżejsza chmurka; każdy rachuje na pogodę jakby nigdy już nie miał być świadkiem burzy. Słowem, tak w tym jak w każdym innym razie, łatwo zapominamy że więcej w życiu dni pochmurnych niż jasnych.

Eliana stojąc w oknie swego pokoju ścigała wzrokiem za jadącemi konno. Konstancya była piękniejszą jeszcze jak zwykle w swej ciemnej amazonce, odznaczającej się wykwintną elegancyą przez to właśnie że nie było w niej nic bijącego w oczy; obok niej z jednej strony jechał Raynold, z drugiej książę de Longvilliers, który jako dawny wojskowy dobrze się trzymał na koniu. Za nim jechała pani de l'Héris, nie tak poprawnie ubrana jak jej towarzyszka, i z wielkim piórem przy kapeluszu, nie dającem korzystnego wyobrażenia o delikatności jej gustu; towarzyszył jej pan Edgar des Hayes. Horacy de Trévals jechał na końcu.

Eliana przewidziła że tak będzie, i to głównie skłoniło ją do pozostania w domu; była pewną że pan de Trévals zechce być nieodstępnym jej towarzyszem wciągu całej przechadzki, i że nie będzie miała sposobności uchronić się od tego.

„Lepiej że pozostałam w domu,” rzekła z westchnieniem odchodząc od okna. Włożyła kapelusz wzięła książkę i zeszła do ogrodu. W przedpokoju, zobaczyła listy dopiero co przywiezione z poczty, a wśród nich spostrzegła z radością jeden pod jej adresem, pochwyciła go śpiesznie, gdyż poznała pismo Bianki, która dotąd nie pisała jeszcze do niej. Bianka nie wróciła dotąd z poślubnej podróży i pisywała codzień do matki, ale nie mogła dotąd znaleźć czasu do skreślenia wprost do „ukochanej Eliany długiego listu” o którym wspominała ciągle pisząc do matki. Eliana udała się śpiesznie z upragnionym listem do ulubionej ławeczki przy końcu ulicy ciągnącej się wzdłuż pałacu. Przechodząc około otwartych okien saloniku margrabiny, usłyszała że margrabina mówiła z żywością i podniesionym trochę głosem, na co pan de Malseigne odpowiadał jej spokojnie i poważnie. Przyśpieszyła kroku nie chcąc podsłuchiwać, ale pomimowolnie zwróciła oczy na rozmawiających, gdy pan de Malseigne zawołał nagle ze zwykłą sobie gwałtownością: „Zaklinam panią, ani słowa więcej!” poczem nastąpiło głuche milczenie.

Margrabina siedziała odwrócona od okna z ręką wspartą na stole, i stojący przed nią Malseigne pochwycił tę rękę z nakazującą postawą człowieka pragnącego zmusić aby zastosowano się do jego woli. Na twarzy jego zwykle spokojnej malowało się gwałtowne wzruszenie. Przeraziło to Elianę, i gdy doszła do ławeczki ręce jej tak drżały że zaledwie mogła list odpieczętować. O czem oni mówili? Co mogło rozdraźnić do tego stopnia człowieka tak zawsze spokojnego, tak umiejącego panować nad sobą jak Malseigne? Podobne pytania nasuwały jej się na myśl pomimowolnie, i upłynął czas jakiś zanim zdołała przeczytać uważnie list Bianki.

Pozostawimy ją przy tem zajęciu, sami zaś wejdźmy do saloniku margrabiny i posłuchajmy jej rozmowy z panem de Malseigne, od chwili w której Eliana usłyszała przypadkiem przytoczone powyżej słowa:

— Armandzie, rzekła margrabina po długiem milczeniu, nie tylko mnie zadziwiasz ale i zasmucasz. Jakto! ty którego uważam za syna, a przynamniej za brata o tyle młodszego że mógłby być bratem Raynolda, chcesz abym mówiąc do ciebie ważyła słowa; nie wolno mi już powiedzieć ci tego co uważam za stosowne?

— Wszystko prócz tego, odpowiedział Armand krótko; tak wszystko prócz tego!..

Zatrzymał się nagle, usiadł, wsparł łokcie na stole, a głowę na ręku. Po niejakim czasie odezwał się już spokojniejszym głosem:

— Przebacz mi pani... tak pani ma słuszność... ma pani prawo mówić do mnie co tylko chcesz, o czem jej się tylko podoba.

Potarł ręką czoło jakby chciał zetrzeć z niego ślad doznanego wzruszenia.

— Nie tylko mnie zasmucasz, mówiła dalej poważnie margrabina, ale pierwszy raz odkąd cię znam stałeś się dla mnie niezrozumiałym. Wygłaszasz zdania zdumiewające gdy wychodzą z ust człowieka rozsądnego, a gdy odpowiadając ci przytaczam przykład na poparcie mego twierdzenia, nakazujesz mi milczenie, lub pozwalasz mi mówić jakby przez grzeczność. Czy nie zechcesz mi wytłómaczyć co to znaczy?

Armand podniósł głowę i odrzekł powoli nie odpowiadając wprost na jej pytanie:

— Cóż w tem nadzwyczajnego iż mówię że Eliana jest śliczna, że Raynold kocha ją i uwielbia, że związek ten obojgu zapewniłby szczęście a więc i panią uszczęśliwićby powinien?

— A ja znowu, odparła głosem zimnym i ostrym jak ostrze stalowe, ja pytam się cóż w tem tak nadzwyczajnego jeżli przypomnę ci iż przed dziesięciu laty i ty także byłeś zakochany w bardzo pięknej pannie, i matka jej odmówiła wam swego zezwolenia.. Odmowa ta była dla ciebie nader bolesną... a jednak przyszłość dowiodła iż uchroniła cię od wielkiego nieszczęścia — a nawet od wielkiej hańby!

Armand drgnął jak gdyby ostrem dotknięty żelazem; śmiertelna bladość okryła twarz jego, umiał jednak jak zwykle zapanować nad sobą, i po chwili odrzekł prawie spokojnie:

— Powtarzam że wszystko, *to* nawet możesz mi powiedzieć... tylko że nie wiesz pani jak było rzeczywiście.

— Jakto, odrzekła żywo margrabina, nie wiem iż pragnąłeś zaślubić piękną Laurę d'Aigremot, która następnie poszła za pana de Terigny a potem.,.

Armand jej przerwał mówiąc łagodnie:

— Dość o tem! zaklinam panią. Powtarzam nie znasz pani dobrze tej historyi a ja nigdy nie mówię o tem.

— Prawda, i było to może nie delikatnie z mej strony... daruj mi, Armandzie ale bo też...

— Przebaczam pani chętnie, tem więcej iż jakkolwiek zabolało mnie gdy dotknęłaś niespodziewanie tej zastarzałej rany, przecież już z niej jestem wyleczony... Tak, wyleczony zupełnie i boleść ta zamieniła się tylko w wspomnienie.

Miczał chwilę, poczem rzekł znowu spokojnie, choć nie bez goryczy:

— Mówmy więc o mojej pierwszej miłości, skoro już wmieszałaś ją pani do tej rozmowy, i pragniesz użyć jej za broń przeciw moim dowodzeniom.

— Chciałam jedynie dowieść że ciebie zaślepiała namiętność, zaś pani d'Aigremont miała słuszność i wielką oddała ci przysługę odmawiając ręki swej córki.

— Czyż rzeczywiście sądzisz pani iż powodem odmowy pani d'Aigremont było przewidywanie tak krzywdzące jej córkę i tak głęboka troskliwość o mój honor i szczęście?

Margrabina nic nie odpowiedziała.

— Krótka to historya, dodał, opowiem ją w kilku słowach. Wiesz pani że dobra d'Aigremont graniczą z mojemi, — znałem więc Laurę od dziecka. Nie umiem oznaczyć dnia kiedy ją pokochałem i kiedy pozyskałem jej wzajemność. Gdy miała lat siedemnaście, jakkolwiek nie zamieniliśmy z sobą uroczystych przyrzeczeń, jednak uważaliśmy się za narzeczonych. Opierając się na tem — udałem się pewnego dnia do pałacu pani d'Aigremont, aby prosić jej o rękę Laury — odmówiła mi stanowczo, nie zostawiając cienia nadziei... Odgadujesz pani powody?

— Nie zupełnie.

— O! pani może nie potępisz ich bezwarunkowo. Jakkolwiek pochodzę z dobrej szlachty i dość znaczny posiadam majątek, nie zaliczam się jednak do najwyższej arystokracyi i nie jestem wielkim magnatem, nie byłem więc odpowiednią partyą dla Laury, jedynaczki z milionami posagu... (czy uwierzysz pani że zupełnie zapomniałem o tem) która dzięki temu mogła zaślubić przedstawiciela któregoś z najznakomitszych rodów, zarazem bogatego jak Krezus, a tem samem zająć jedno z najpierwszych stanowisk w całej Francyi. Oto powody odmowy pani d'Aigremont.

Pani de Liminges milczała. Lubiła bardzo i nader wysoko ceniła Armanda, i powtarzała nieraz iż trudno byłoby znaleźć w całym świecie dwóch ludzi coby go byli warci, nie mogła jednak nie przyznać sama przed sobą, że gdyby była na miejscu pani d'Aigremont, byłaby pewnie takąż samą dała odpowiedź.

— Wyszedłem nic nie odpowiedziawszy, mówił dalej Armand — przed kratą spotkałem Laurę. Trzymała w ręku słomkowy kapelusz napełniony kwiatami. Jej biała sukienka, włosy rozpuszczone, śliczne oczy wpatrujące się w zmienioną twarz moją z przestrachem i zadziwieniem, wszystko to wyryło się na zawsze w mej pamięci... „Co ci się stało, Armandzie?" zawołała drżącym głosem... Wziąłem jej rękę, i ucałowawszy powiedziałem tylko: „bądź zdrowa..." Takie było nasze rozstanie... powróciwszy do domu zachorowałem i zaledwie zdołano mnie uratować. Gdy nareszcie wróciłem do zdrowia, opuściłem Francyą i przez pięć lat nie widziałem Laury.

— Przypominam sobie że wtedy właśnie wyjechałeś w tak długą podróż.

— Tak, odbyłem podróż na około świata, i dopiero gdy już mniemałem że osiągnąłem w zupełności cel zamierzony, powróciłem do Francyi z długiego dobrowolnego wygnania. W rok po moim wyjeździe dowiedziałem się że Laura poszła za pana de Thérigny. Nie dorównywał jej urodzeniem, ale posiadał majątek kolosalny, przed jakiemi dziś wszelka pycha się korzy a krytyka milczy. Czytając w gazetach opisy świetnych zabaw i festynów wydawanych przez młode małżeństwo, oswoiłem się z jej nowem nazwiskiem i nadawałem jej go myśląc o niej. Powtarzano że dom ich jest jednym z najbogatszych, najwspanialej utrzymywanych, w którym zbiera się najarystokratyczniejsze towarzystwo... Powracałem przekonany najmocniej że widok światowej elegantki, żyjącej tylko uciechami i strojem, a więc tak nie mającej nic wspólnego z tą którą tak kochałem, nie może być niebezpiecznym dla mnie... zobaczyłem ją... Zapewnie przypominasz sobie pani jaką była wówczas?

— Pamiętam doskonale, i zarówno jak wszyscy znajdowałam ją zachwycająco piękną.

— Tak, a jednak ta jej świetna piękność nic nie przemawiała mi do serca — miałem słuszność — nie była to moja dawna Laura. Całkiem oddana życiu światowemu, otoczona najniebezpieczniejszemi hołdami i uwielbieniem, w towarzystwie tylko lecz nie pod opieką męża, pyszniącego się jej pięknością ale nie pojmującego bynajmniej lub też zupełnie obojętnego na otchłań w jaką spaść mogła idąc taką drogą — mogłem spotkać się z nią bez obawy o siebie — to też prawie obojętnie patrzyłem jak coraz szybszym krokiem dążyła do upadku.

— Doskonale przypominam to sobie, Armandzie, ale i to także pamiętam, że miesiąc zaledwie zabawiwszy w Paryżu, znowu w nową wybrałeś się podróż z której dopiero po upływie dwóch lat powróciłeś. Wówczas Laura już nie żyła; nie mówiłam już z tobą o niej, bo postępowaniem swojem zmusiła nas do wykluczenia jej z towarzystwa, i nikt z nas nie wymawiał jej nazwiska. Dlatego też ja, wówczas już kochając cię jak syna, błogosławiępanią d'Aigremont że nie dozwoliła poślubić ci tej...

— Pozwól mi pani skończyć, rzekł Armand nie mogący ukryć miotającego nim wzruszenia — i odtąd nigdy już nie będziemy mówić o niej. Przypadek zdarzył że pewnego dnia, nie potrzebuję mówić gdzie to było — znaleźliśmy się na chwilę obok siebie, i pomimo bardzo licznego towarzystwa, mogliśmy rozmawiać jak gdybyśmy byli sami. Wtedy po raz pierwszy mówiła ze mną szczerze i bez przymusu, i nagle znalazłem obok siebie też samą uroczą, naiwną i serdeczną Laurę którą dawniej kochałem do ubóstwienia.... Może nie powinna była mówić co mi powiedziała, ale wstrząsnęło to całą moją istotę.... Była nieszczęśliwą, życie jej było zwichniętem, nie była już tem czem była dawniej, a sama siebie zunienawidziła taką jaką się stała. Nareszcie wyrzekła z goryczą: „Ach! czemuż wyjechałeś, Armandzie, lub czemu nie wróciłeś prędzej!.... Słowa te przywodziły mnie do szaleństwa, bo tkwiła w nich prawda.... O! tak zawołał unosząc się, przysięgam iż wierzę niezachwianie że gdyby powierzono mi ją czystą i nieskalaną jaką była wtedy, gdybym ja był czuwał nad nią i prowadził po życia drodze, byłaby dotąd cnotliwą i szanowaną, byłaby uniknęła nieszczęścia, hańby i śmierci!

— A jednak pomimo odzyskanego na nią wpływu, nie zdołałeś....

— Wysłuchaj pani do końca, rzekł tłumiąc wzruszenie. Nie odzyskałem nad nią wpływu — bo nie chciałem. Wprawdzie, w pierwszej chwili, wzruszony jej zwierzeniem, zamyślałem pozostać aby czuwać nad nią... prosiła abym był jej przyjacielem, z początku wydawało mi się to możebnem — więc zostałem w Paryżu.... Niebawem przecież zrozumiałem iż było to złudzeniem, sidłami w które wpadlibyśmi oboje, i że chcąc dowieść że rzeczywiście jestem jej przyjacielem — powinienem odjechać. To też nie wahając się, wyjechałem w towarzystwie Rajnolda. Przez lat dwa nie szłyszałem nawet jej nazwiska, a od owej chwili, jak pani wiesz, nigdy o niej nie mówiłem.

— Po jej zniknięciu ze sceny świata, nie można się było dowiedzieć nic o dalszych jej losach, z początku mówiono o tem wiele, a w końcu zapomniano o niej zupełnie. Pan de Therigny znikł jednocześnie z nią, a w pięć lat później wrócił do Paryża już powtórnie ożeniony. Nadskakiwano znów drugiéj jego żonie, a nie myślano już o pierwszej, krążyły tylko jakieś niepewne wieści że skończyła źle i nieszczęśliwie.

Twarz Armanda pobladła znów i zmieniła się strasznie jak przy początku rozmowy.

— Źle, rzekł drżącym głosem, tak, skończyła jak musiała skończyć gdy wstąpiła już raz na tak śliską drogę, bardzo źle i nieszczęśliwie... nawet strasznie!... Tylko dodał wznosząc oczy w niebo że pod tym względem mam wyobrażenia przynoszące nadzieję i pociechę!...

— Nie rozumiem co chcesz przez to powiedzieć, Armandzie, odezwała się trochę zdziwiona margrabina, co do mnie nie wiem nic pewnego, opowiedz mi więc co się z nią stało.

— To jednak wiadomo pani zapewnie że mąż jej zaniepokojony, zbyt późno, niestety! nadskakiwaniem pewnego cudzoziemca który był u nich zbyt częstym gościem, wyjechał nagle z żoną z Paryża i zawiózł ją do swej willi w okolicach Marsylji.

— Tak było to wszystkim wiadome, ale zresztą nic prócz tego że został wdowcem.

— Wyjechała ztamtąd potajemnie do Marsylii, a następnie wsiadła na statek odpływający do Liworno, gdzie miała spotkać tego z którym ją rozłączono. Statek na którym płynęła zbliżał się do portu w noc ciemną i mglistą, i uderzył o inny wypływający z niego... Ten przerażający wypadek był w swoim czasie tak głośnym, że i pani musiała słyszeć o nim.

— Tak, ale nie wiedziałem że ona znajdowała się na tym statku.

— Pan de Therigny postarał się o to aby nazwisko jego nie było wymienione; wiedziano tylko że wyjechała i umarła, ale nie domyślano się że należała do liczby ofiar tego strasznego wypadku!

— Jakaż to śmierć okropna! mój biedny Armandzie.

Milczeli czas jakiś. Margrabina była silnie wzruszona, Armand wstrząśnięty do głębi duszy tak bolesnym wspomnieniem, nie miał siły mówić dalej.

— O! tak, okropna! odezwał się nakoniec, ale ja wierzę iż Bóg który sądzi, karze i przebacza, ukrywa nieprzeliczone skarby miłosierdzia w tych strasznych katuszach, których nawet wspomnienie przejmuje dreszczem; wierzę iż kilka minut takich katuszy może wystarczyć na zmazanie błędów całego życia, że mogą otworzyć niebo!... Wierzę iż ta nieszczęśliwa przebywając je okupiła swoje winy i otrzymała przebaczenie!... Ta myśl zabłysła w mej duszy jak promyczek światła spadający z nieba, i uchroniła mnie od rozpaczy.

Jakiś dziwny blask ożywił na chwilę oczy Armanda, potem zagasł, i spojrzenie jego było znów spokojne i głębokie jak zawsze.

— Jakże piękną, szlachetną, posiadasz duszę, Armandzie!... jak nieocenione masz serce! rzekła rozczulona margrabina, i uścisnęła jego rękę.

Armand ucałował z uszanowaniem jej ręce, a po chwili odezwał się:

— Jeżeli więc pani sądzi że zasługuję na jej życzliwość i zaufanie, jeżeli rzeczywiście wolno mi uważać się za jej młodszego brata, prawie za syna, niech mi także wolno będzie zapytać się: czy pani nie podziela tego przekonania, że matka biednej Laury d'Aigremont myśli nieraz z żalem o cichem i spokojnem życiu, jakie wiodłaby jej nieszczęśliwa córka pod moim skromnym dachem.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 5.

N. 1 – 2. Ubranie z vêtement skośnie zapiętem. Krój N. I, fig. 1—6.

Fason ten zarówno jest stosowny do domowego jak i do spacerowego ubrania; ryc. 1 przedstawia z tyłu ubranie domowe odrobione z sukienka lub kaszmiru, ze spódnicą w koło plisowaną, z kołnierzem i mankietami z jedwabnej materyi. Na ryc. 2 dajemy z przodu ubranie spacerowe ze spódnicą aksamitną futrem obłożoną i z vêtement sukiennem z kołnierzem i mankietami futrzanemi. Na fig. 1 dana jest forma pod spód zachodzącego, krótkiego przodu, a na fig. 2 część dopełniającą przód zwierzchni, krajaną razem z całą draperyą przednią i z prawą połową przodu, jak to na małym modelu fig. 2A. Po zeszyciu środka przodu od gwiazdki do dwukropka spina się stanik w tem miejscu od spodu na haftki a brzeg wcięty części dodanej zapina się z wierzchu na guziki. Boczki fig. 3 i plecy fig. 4, trzeba podług miar podanych na małym modelu przedłużyć i rozszerzyć u dołu. Brzegi vêtement podszywa się listewką z materyi 8 cent. szeroką, wystające części pleców i boczków składa się w podwójną kontrafałdę, a poniżej wcięcia w pasie podpina się vêtement w miejscach krzyżykami i punktami oznaczonych. Nie zeszyte brzegi boczków można przypiąć do spódnicy na guziki i dziurki jak na r. 2 albo puścić wolno jak na r. 1. Na ramieniu i przy otworach z boków przyszyte są długie 7 cent. szerokie wstążki, które za każdą razą wiążą się po włożeniu vêtement na kokardy.



N. 1—2. Suknia z vêtement skośnie zapiętem. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6.

N. 3—9 i ryc. 13 w N. 6 Tygodnika Mód. Przykrycie na poręcz sofy.

Robota ściegiem zwanym „point coupé“ na grubem płótnie. Tło zarobione w kratkę ażurową, deseń odkryty płócienny. Przed dawnemi laty ten rodzaj roboty bardzo był upowszechniony i lubiony, a pracowite damy we wszystkich krajach Europy, zdobiły w ten sposób szaty, poszewki, kapy, chustki i t. p. Za model do przykrycia na poręcz do sofy służył nam starożytny haft włoski zwany tam „punto tagiiato“. Nazwa ta oznacza rodzaj roboty, w której deseń pozostaje gładki płócienny, a w tle wycinają się nitki na kratkę ażurową. Na modelu kontury deseniu oszyte były jedwabiem żółtym, ściegiem sznureczkowym jak w hafcie angielskim, a krata jedwabiem niebieskim. Na ryc. 14 w N. 6 Tygodnika Mód, dajemy w naturalnej wielkości próbkę szlaczku brzeżnego i grubości płótna, to ostatnie jednak może być grubsze, a robota wyda się równie pięknie. Robotę oblicza się podług deseniu krzyżowego, licząc po siedm nitek w kwadrat na jeden krzyżyk, z których 4 wyciąga się na kratki, a 3 pozostawia na przedziały, na skrzyżowaniu nitek przedziałowych daje się ścieg krzyżowy. Brzegi deseniu wywodzi się ściegiem pojedyńczym na dwie strony jednakowym, nitki na wyciągnięcie kraty przecina się o dwie nitki za wywodzeniem, a pozostałe brzeżki podwija się do spodu jak w hafcie angielskim, przy obrabianiu konturów gęsto ściegiem sznureczkowym. Przy nauce tej roboty trzeba używać jedwabiu kręconego, albo nici twift zwanych, które służyć także może przy robotach na grubem płótnie, na którem dajemy próbki, ale do płótna cieńszego, używa się peli, która również i bez przedziałów się układa. Na ryc. 4—8 podajemy próbki roboty w rzędach prostych i skośnych, do których dodamy tylko że gdyby dwa ściegi nie pokrywały równo przedziałów między kratami, trzeba dawać trzy. Brzegi przykrycia na poręcz do sofy oszyć listwą niebieską aksamitną a do dołu dodać piękną jedwabną frendzlę macramé.

N. 14. Czepeczek dla niemłodych dam.

Fason czepeczka stanowi czółko z czarnego, sztywnego tiulu, oszyte drucikiem i wązką wstążeczką, do którego wszywa się denko z przodu i z boków cokolwiek przyfałdowane, z tyłu w listewkę wszyte. Koło twarzy czółko ogarnirowane jest małą przyfałdowaną dżetową koronką 5 cent. szeroką, a na czółku naszywa się wachlarzowo ułożoną, 7 cent. szeroką koronkę Chantilly i upina pukielki ze wstążki w atłasie 2 i pół cent. szerokiej. Na denku upina się, sposobem na ryc. wskazanym, kawałek jedwabnego tiulu, mający 28 cent. szerokości a 30 długości, którego górne rogi są mocno, a dolne cokolwiek zaokrąglone, z tyłu w środku na 15 cent. długości, przecięty w koło trochę nadmarszczoną koronką chantylly oszyty, z wierzchu ozdobiony upięciem ze wstążki i koronki dżetowej, do końcy czółka przyszyte są wązkie wstążki do wiązania z tyłu głowy lub pod broną. Model był w kolorze czarnym.

N. 15. Czepeczek dla dam w podeszłym wieku.

Do czółka z podwójnie złożonego, białego, sztywnego tiulu, nad czołem w ząb zciętego, mającego 48 c. długości, 8 środkowej a 4 brzeżnej szerokości, wszywa się denko okrągłe z czarnego jedwabnego tiulu, mające 33 cent. średnicy, z przodu przyfałdowane, z tyłu prawie płasko w listewkę wszyte. Denko to pokrywa bufa z białego tiulu jedwabnego, w górze i u dołu suto z boków tylko trochę przyfałdowana. Czółko z obydwóch brzegów ogarnirowane jest riuszą z jedwabnego tiulu i nadmarszczoną 3 cent. szeroką blondyną, ta ostatnia naszyta jest także na pasku przy denku z tyłu. W środku czółka naszyta jest wachlarzowo blondyna 4—5 cent. szeroka, przepinana pukielkami i końcami ze wstążki w atłasie, 3 cent. szerokiej; boki czółka na 17 cent. długości, pokrywają wstążki przewijane 6 cent. szerokie a 66 długie, służące do związania czepeczka. Denko zdobi w ząb naszyta wązka i szersza blondyna i kokarda ze wstążki.

N. 18. Poduszka pod nogi, ozdobiona pasami aplikacyi. Deseń na arkuszu z krojami N. 8.

Poduszka pod nogi pierzem wysłana, trzymająca 60 c. w kwadrat, pokryta była z wierzchu pluszem ciemnozielonym, na którym naszyte były pasy aksamitu ciemno ponsowego, ozdobione aplikacyą z brokatelli vieil-or. Szerokość pasów i rodzaj roboty, wskazuje deseń N. 8, brzegi aksamitu pokrywają 1 cent szerokie paski brokatelli, przyszyte zarówno jak i aplikacya, kręconym sznureczkiem jedwabnym. Spód pokryty suknem albo skórą ciemno zieloną, brzegi poduszki oszyte grubym sznurem jedwabnym, rogi ozdobione sutemi szmuklerskiemi chwastami.

N. 19 i 20. Dwa wcinane paltoty. Krój N. IV, fig. 20—24.

Na fig. 20—24, dajemy w naturalnej wielkości formę krótkiego wcinanego paltocika ryc. 20, którego model odrobiony był z ciemno bronzowego wytłaczanego pluszu z pikowaną, ponsową atłasową podszewka, ozdobiony tylko pięknemi guzikami. Na małym modelu fig. 20a—24a podajemy miary paltota długiego ryc. 19, i wskazujemy w jaki sposób trzeba formę przedłużyć i rozszerzyć do dołu. Po założeniu fałd do spodu, szew środkowy pleców zeszywa się w długim paltocie, tylko do długości baskiny. Model do ryc. 19 odrobiony był z pluszu gładkiego koloru ciemno loutre z podszewką z pluszu koloru pawiego, z obłożeniem 8 cent. szerokiem z futra bobrowego. Przody zapięte na kryte haftki, zdobi piękny szamerunek z pasmanteryi.

N. 22. Wstawka do poszewek, spódnic i t. p. wywodzona na mocnym grosbotowym tiulu, bawełną estramandura N. 6 lub 7.

N. 25 i 26. Kwiaty do balowego ubrania.

Ryc. 26 przedstawia ubranie z kwiatów do sukni balowej, uwite z ponsowych błyszczących tulipanów i liści we wszystkich odcieniach, od ciemno bronzowych jesiennych do bardzo jasno zielonych; odpowiednie mniejsze gałązki zdobią stanik i głowę. Właściwsze dla młodych panien są bukieciki ułożone z drobniejszych kwiatów, traw i wstążki. Taki bukiecik ze stokrotek, trawy i końcy z wązkiej wstążki dajemy na ryc. 25.

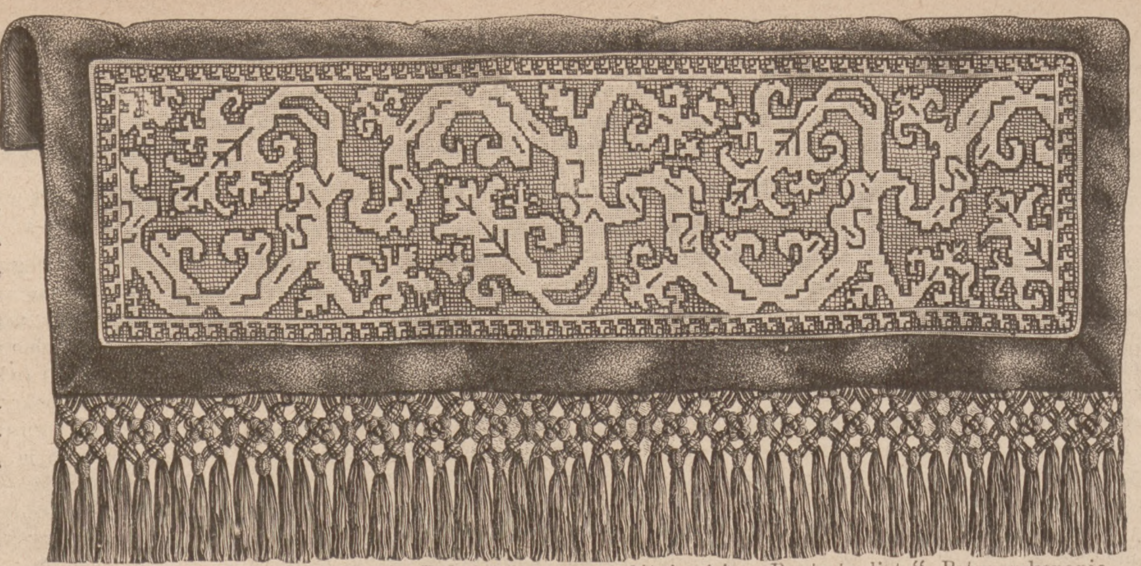
N. 27. Ubranie z koronki i wstążki i żabot.

Ubiorek na głowę upina się na foremce ze sztywnego tiulu oszyty wstążeczką z agremanem, mającej 10 cent. środkowej szerokości, z brzegu przedniego w środku zaokrąglonego 28 cent., a z tylnego w ząb szpiczasty ściętego 20 cent. długości. Na tej foremce naszywa się w 3 jeden na drugi zachodzące rzędy koronkę białą fałdowaną 10 cent. szeroką, naszytą grelotkami z pereł; środek zdobi kokarda ze wstążki w atłasie, 4 cent. szerokiej. Kołnierzyk do żabotu stanowiła wstążka taka jak do ubiorku, pokryta wywiniętą, 7 cent. szeroką koronką, a zpięta z boku na ramieniu sutą kokardą. Żabot stanowią dwa rzędy jeden na drugi zachodzące szerokiej, fałdowanej koronki, naszyte na kawałku tiulu.

N. 28. Ubiorek z kwiatami i żabot.

Ten ubiorek układa się na takiej samej jak i poprzedzającej foremce ze sztywnego tiulu, ogarnirowanej w koło fałdowaną, 7 cent. szeroką koronką, z wierzchu pokry-

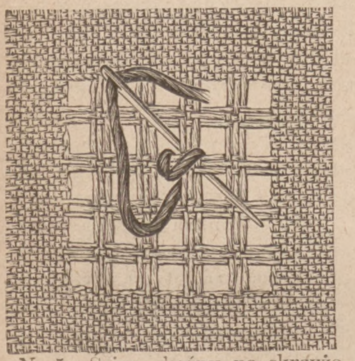
tej prostym kawałkiem muślinu 20 cent. szerokim a 110 długim, którego przedni brzeg podłużny i obadwa brzegi poprzeczne oszyte są koronką, środek jest ściśle sfałdowany i pod bukietem kwiatów do foremki przypięty, obadwa końce w fałdy ułożone, są spuszczone do tyłu, a brzegi nieoszyte koronką schodzą się do środka. Prosty, stojący kołnierzyk żabotu jest z aksamitu ciemno bordo, w górze zakończony wypustką atłasową, u dołu oszyty 7 cent. długiemi grelotkami z pereł. Żabot z koronki 7 c. szerokiej, układa się wachlarzowo na kawałku tiulu.



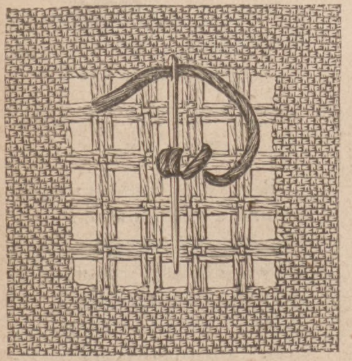
N. 3. Przykrycie na poręcz od sofy. Robota ażurowa na płótnie, ścieg „Punto tagliato". Patrz wykonanie w powiększeniu na ryc. 4—8, w naturalnej wielkości na ryc. 14 w N-rze 6.

N. 29. Kapelusz z wysoką główką.

Jest z wierzchu gładko pokryty aksamitem czarnym, a rondko z przodu na 4 z tyłu 2 cent. wywinięte, podszyte aksamitem fałdowanym. Do ubrania służy szlak 9 cent. szeroki, haftowany jedwabiem na materyi żółtawej, wielkie strusie pióro żółte do cieniu i wstążka w atłasie 6 cent. szeroka.



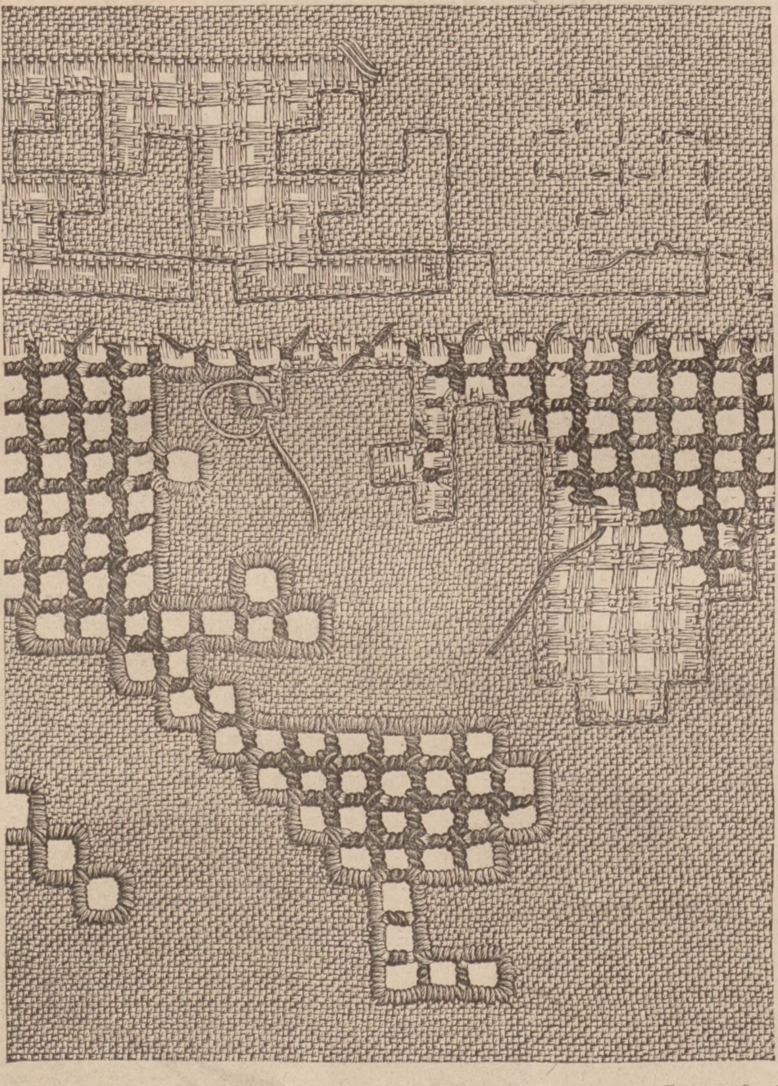
N. 5. Ścieg skośny na skrzyżowaniu kratek, do ryc. 3.



N. 6. Wyszycie krzyżyka na skrzyżowaniu się nitek, do ryc. 3.

N. 30. Trzewik do strojnego ubrania.

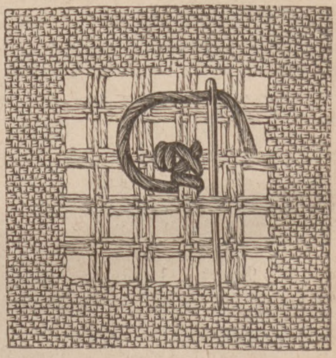
Zrobiony był ze skórki cienkiej bronzowej, na obcasie nie tak bardzo zwężonym jak dotąd bywało; ubranie stanowi duża kokarda z materyi lub wstążki, przepięta klamrą złoconą.



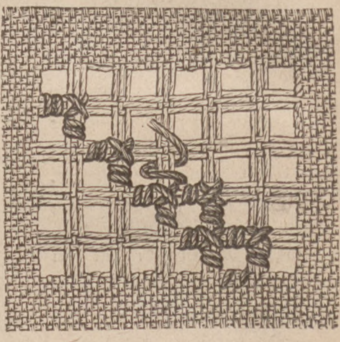
N. 4. Wykonanie ażurowego deseniu, ściegiem „Punto tagliato. Patrz r. 3—9

N. 31 i 32. Trzewik robiony na drutach, do zakładania na bucik. Forma na arkuszu z krojami N. VI, fig 27—29.

Bardzo praktyczne trzewiki podczas ślizgawicy, mają podeszwę i obcasy grube filcowe połączone ze sobą tasiemką elastyczną 2 cent. długą a 2 i pół szeroką przymocowaną do spodu podeszwy paskiem skórzanym, a do wierzchu obcasa skórką, którą cały jest pokryty. Elastyka służy do utrzymania trzewika ściśle na na nodze, mimo różnej wielkości obcasów przy bucikach. Przednią i tylną część bucika robi się oddzielnie z włóczki czarnej na drutach, gładko tam i napowrót podług formy, a część przednią zakończyć w górze ząbkami podanemi na r. 32. Tylną część prostą zacząć na o: 50 i obrobić równo razy 80. W górze przyszyć z jednej strony elastykę zakończoną kółkiem mosiężnym, do zapinania na guzik przyszyty z drugiej strony; u dołu dodać przyszczypkę skórzaną 2 cent. szeroką i przyszyć do obcasa. Przednią część złączyć ściegiem dzierganym z podeszwą. Ząbki zrobić oddzielnie i przyczepić sposobem wskazanym na ryc. 32,



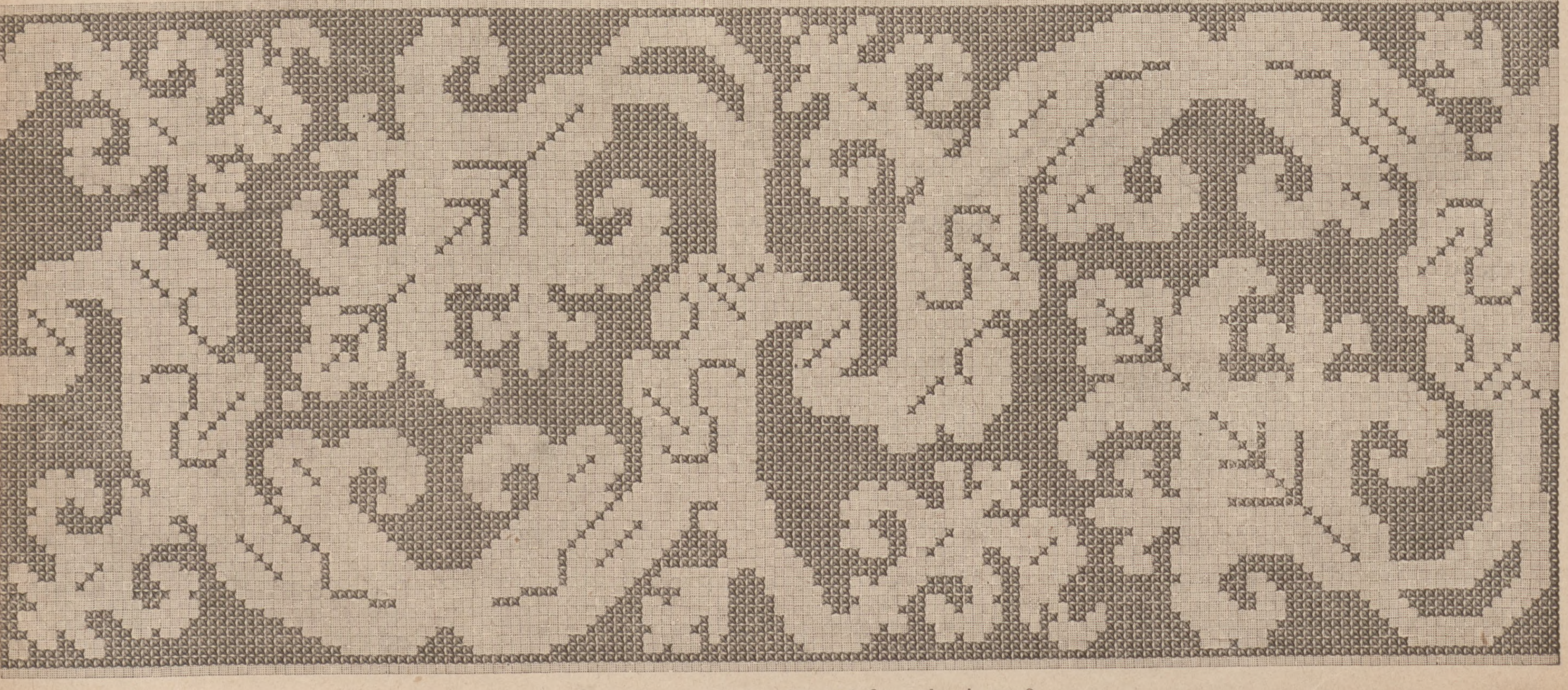
N. 7. Obrzucanie kratek, do r. 3.



N. 8. Rząd kratki ażurowej ściegiem „Punto tagliato.

N. 34. Suknia ze stanikiem z krótką baskiną.

Przy sukni z materyi gładkiej i deseniowej, stanik zakończony jest u dołu patkami 9 cent. długiemi, które podwijają się w pukle do spodu. W stanik wstawiony jest atłasowy przemarszczony plastron zakończony w górze podwójnym nagłówkiem i kołnierzem z ranwersami; żabot z koronki i wązkiej wstążki prawie zupełnie zasłania plastron. Rękawy ozdobione koronką i wstążką. Panier jest w górze ułożone w kontrafałdy. Spódnica z deseniowego materyału ogarnirowana szerokim wolantem układanem w kontrafałdy, zakończona w górze riuszą.



N. 9. Deseń krzyżykowy na szlak do przykrycia ryc. 3.



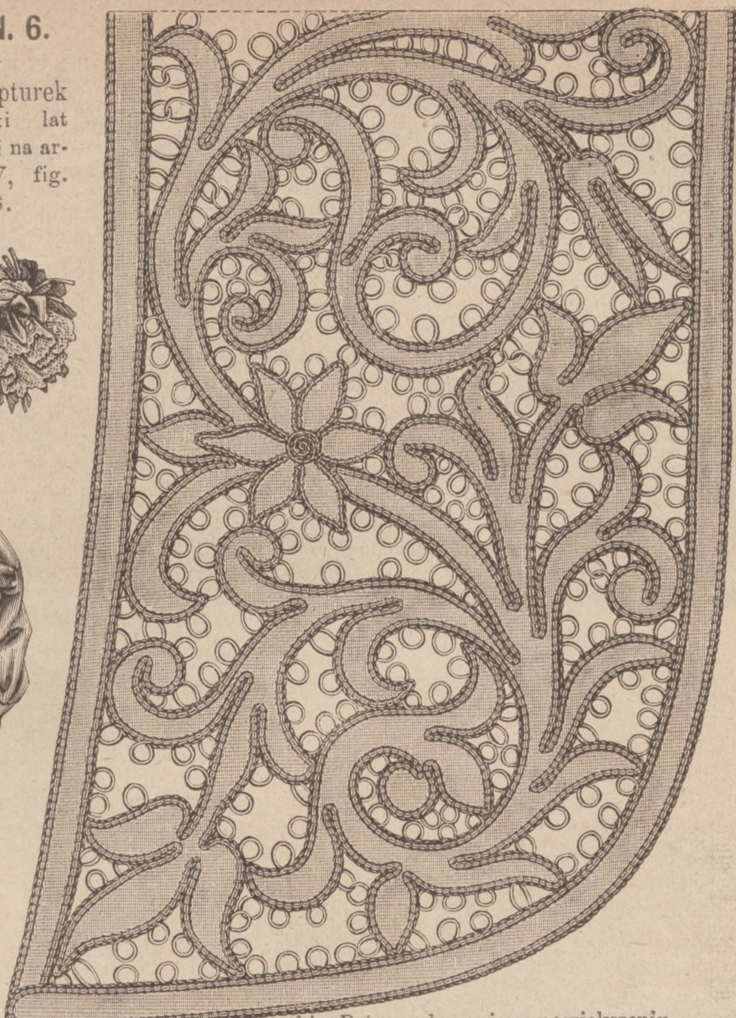
N. 10. Ząbki szydełkowe przy mignardisse.

Opis do N. 6.

N. 1. Kapturek dla panienki lat 9—12. Krój na arkuszu N. V, fig. 25—26.



N. 16 Stanik wycięty do sukni ryc. 19 w N-rze 6.

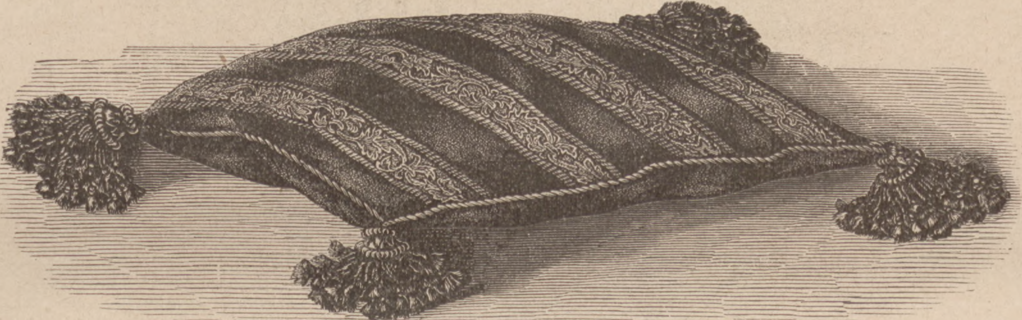


N. 12. Mankiet. Haft wenecki. Patrz wykonanie w powiększeniu na ryc. 13. Kołnierzyk patrz ryc. 29 w N-rze 6.

Bardzo praktyczny na dnie zimowe kapturek, uszyć można z kaszm'ru, atłasu, pluszu albo jak na r. 1 łącząc atłas z pluszem; fig. 26 daje formę rondka marszczonego na drucik i zakończonego przy twarzy nagłówkiem. Potrzeba na nie skośnego kawałka w środku 25 cent. szerokiego a o połowę dłuższego od przedniego obwodu kapturka, który składa się we dwoje tak aby wierzch wystawał o 2 cent.

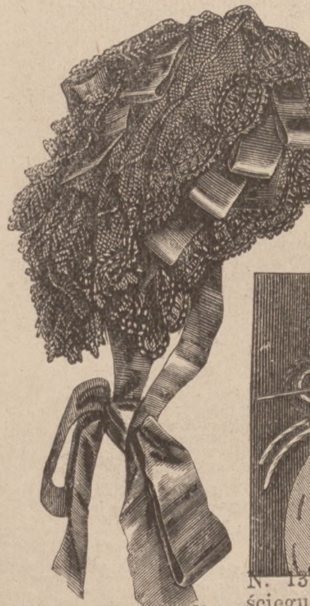


N. 19. Paletot długi wcinany. Krój na arkuszu N. IV, fig. 20—24.

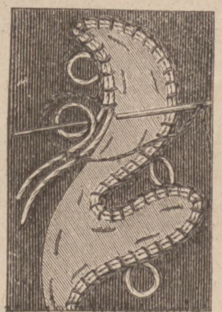


N. 18. Poduszka pod nogi. Patrz deseń na arkuszu pod N. 8.

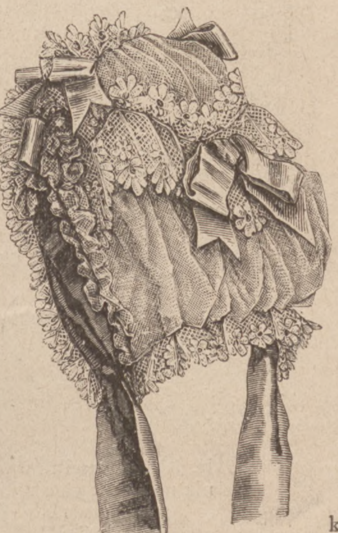
szerzej. Pierwsze przemarszczenie dane w odstępie 2 cent od brzega, pozostawiając to na nagłówek; przed drugiem zmarszczeniem wierzch podnosi się w bufę a następnie przeszywa się oba brzegi i wciąga drucik. Główka przykrojona podług fig. 25 lekko podwatowana i podłożona jedwabną podszewką, składa się u dołu w potrójną fałdę i przyszywa do rondka od gwiazdki do dwukropka. Na przyszycie u góry dana riusza atłasowa 7 cent. szeroka, u dołu kokarda aksamitna, a z boków takież końce do wiązania.



N. 14. Ubranko dla pań starszych.



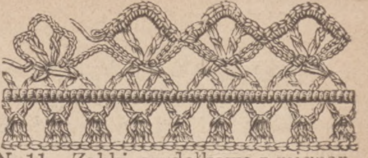
N. 13. Wykonanie ściegu weneckiego do ryc. 12.



N. 15. Czepeczek dla osoby w wieku.

N 3. Serweta na bufet. Deseń na arkuszu N. 6—7.

Rozmiar serwety musi być zastosowanym do bufetu; szlak żłobiący brzeg przedni spuszczony liczy 36 cent. szerokości; tło serwety jest z domowego płótna średniej grubości. Deseń wyszyty kolorową bawełną ściegiem sznureczkowym według wzoru załączonego na odwrotnej stronie arkusza pod N. 6 i 7; całości dla braku miejsca podać nie możemy, czytelniczki umiejące rysować ułożą ją podług r. 3. Kolory biorą się do cieniu, blade na arabeski i figury, patera może być bronzowa, a owoce i kwiaty w żywych barwach.



N. 11. Ząbki szydełkowe z mignardisse.



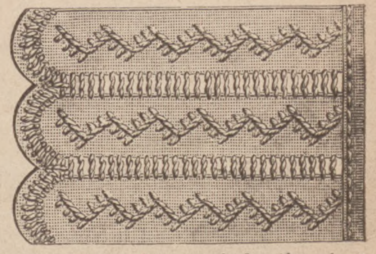
N. 17. Stanik wycięty złożony z wielu części. Do sukni ryc. 27. w N. 6. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—19.

N. 4—5. Fartuszki jedwabne.

Na każdy fartuszek potrzeba kawałka materyi 52 c. szerokiego, u dołu trochę zaokrąglonego, w górze sfałdowanego do 27 cent. szerokości



N. 20. Paletot krótki wcinany. Krój na arkuszu N. IV, fig. 20—24.



N. 21. Hafcik i łączenie kratką ażurową do ryc. 30—31 w N-rze 6.

N. 4. Fartuszek z plisowaną falbaną.

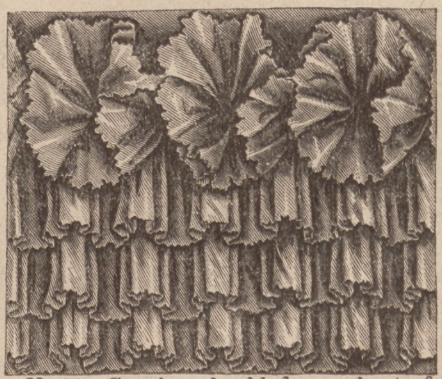
Uszyty z czarnego jedwabnego repsu, u góry założony w 12 fałd zchodzących się do środka, po 10 cent. długich, od spodu podszytych tasiemką. Pasek zapięty z boku pod sutą kokardą z wstążki; przybranie stanowi plisowanie 20 cent. szerokie, przyszyte pod riuszą 6 i pół cent. szeroką, z nagłówkami, przyczepionemi niewidocznie.



N. 23. Garnirunek z bufek i koronki do sukni balowej.



N. 22. Wszywka wywodzona na tiulu, do spódnic, poszewek i t. p.



N. 24. Garnirunek układany w kontrafałdy do sukni balowej.

N. 5. Fartuszek z haftowaną falbaną.

Zakończenie fartuszka z materyi surah stanowi 15 c. szeroka falbana, haftowana w maszynie jedwabiem; po nad nią dane przemarszczenie w drobne bufki, na które trzeba skośnego kawałka. Gór-



N. 27. Ubranko i żabot.

ny brzeg fartuszka po zmarszczeniu do 11 c. oszyty sznurem zakończonym kwastami, który wiąże się z boku.

N. 6. Kołnierz z żabotem.

Podstawę stanowi pasek cienkiego muślinu 5 c. szeroki, zastosowany do obwodu szyi, do którego przyszywa się koronka saska 9 cent. szeroka. Górną część kołnierza stanowi rulon z materyi cieniowanej blado niebieskiej, przerabianej w pasy szenelowe. Na żabot potrzeba 127 c. koronki, ułożonej wachlarzowo na kawałku sztywnego tiulu.



N. 25. Bukiecik kwiatów związany wstążką.



N. 26. Girlanda z kwiatów do sukni balowej.

N. 7. Kołnierz chusteczkowy.

W około szyi dane dwa rzędy koronki fałdowanej, 4 cent. szerokiej, a trzeci wywinięty gładko na pasku stojącym. Żabot z gazy jedwabnej składa się z dwóch kwa-



N. 28. Ubranko i kołnierz.

dratowych kawałków z materyału wziętego skośnie, u góry 24, u dołu 12 c. szerokich, z brzegów prostych 48 cent. długich. Brzegi boczne składają się w fałdy zwrócone do góry i przyczepiają na kawałku sztywnego tiulu, podług r. 7; brzegi dolne i górne zakończone koronką. Gruby sznur szenelowy przerabiany w kulki, związany na żabocie.

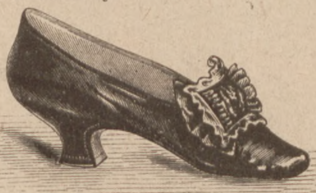
(*D. c. n.*)



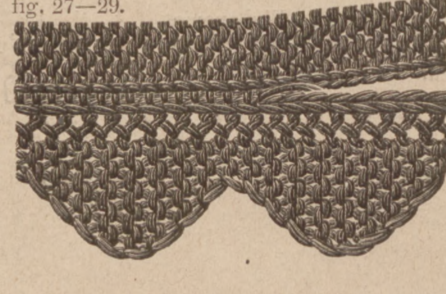
N. 29. Kapelusz aksamitny.



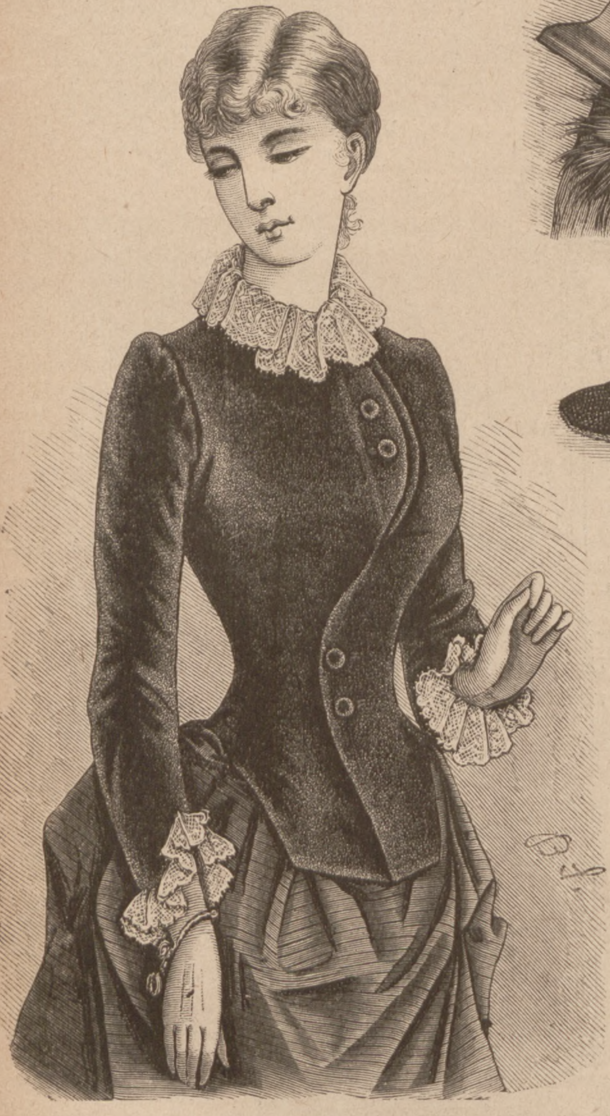
N. 31. Trzewik do włożenia na bucik strojny. Krój na arkuszu N. VI, fig. 27—29.



N. 30. Trzewik do strojnego ubrania.



N. 32. Ząbki robione na drutach do ryc. 31.



N. 33. Stanik aksamitny do ryc. 23—24 w N-rze 6.



N. 34. Suknia z krótkim stanikiem.